

# NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 7

JAN PARANDOWSKI  
STANISŁAW OSSOWSKI  
KAROL ESTREICHER  
FELIKS BOCHEŃSKI  
HANNA MORTKOWICZ OLCZAKOWA  
JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA  
STEFAN ŁĘCZYC  
STANISŁAW ŁEMPICKI

\* \* \*  
LITERATURA,  
SZTUKA I NAUKA  
W ANGLII

LONDYN

LIPIEC

1946

**MILLIONS SHAVE  
WITH A SMILE  
EVERY MORNING**

- thanks to the  
**SOFTENING  
SMOOTHING  
SOOTHING  
LATHER of**



1/10<sup>+</sup> & 3/-  
Including  
Tax

*Wilerbys*

**Kawiarnia — Restauracja**

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

**NALEŻY OBECNIE ZAO-  
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI**

**VANEK** jest największym mistrzem w przerabianiu, czyszczeniu i przechowaniu futer wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy.  
\*\* Wynagrodzenie umiarkowane. \*\*

Zgłaszaj się pod

**4, WILLIAM STREET,  
Knightsbridge, London, S. W.**

również w BOURNEMOUTH.

**U W A G A !**

**POLSKI KUŚNIERZ**

dawniej Katowice

**LANGER & CO. (FURR'ERS) LTD.**

Obecnie:

1 Notting Hill Gate, London, W. 11

Tel.: BAYwater 3773  
(dawniej Knightsbridge)

Nowe futra z własnych lub powierzonych materiałów. Przeróbki i czyszczenie. Posezonowa zniżka cen futer gotowych na składzie.

**ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA**

2, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W.9 Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska.

MÓWI SIĘ PO POLSKU I

Dojazd: Stacja kolei podziemnej Warwick Ave. na brązowej linii

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London establishment. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

# NOWA POLSKA

## MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 7

LONDYN

L I P I E C

1946

JAN PARANDOWSKI

### O ROLI PISARZA

*Przemówienie w dniu zamknięcia Kongresu P.E.N.-  
Clubu w Sztokholmie nadesłane przez Jana Parandowskiego  
redakcji „Nowej Polski”.*

W żadnej epoce nie było tak silnego przekonania, które nas właśnie trawi: że świat wymaga wielkiej przebudowy i naszym jest zadaniem ją podjąć. W tej pracy — każdy to czuje — nie może zabraknąć pisarzy. Ich obowiązki są nawet większe niż czyjekolwiek i są tak różnorodne jak sama działalność literacka. Kto by się tych obowiązków wyrzekł, wchodziłby w „zdradę klerków”, być może gorszą od tej, której akt oskarżenia spisał przed laty Julien Benda. Chciałbym tu zwrócić uwagę kolegów na jeden z tych obowiązków, dotyczący ich zawodu pracowników słowa.

Faszyzm we wszystkich swoich odmianach dokonał niesłychanego spustoszenia nie tylko w krajach, w których panował, ale i w całej Europie. Co dzień bowiem, przez długie lata, wyrzucano setki ton zadrukowanego papieru ze słowami zemsty, nienawiści, kłamstwa. Kłamstwo stało się tak zuchwałe i tak niedorzeczne, że miało się wrażenie, jakby przemawiało już nie do społeczności ludzkiej, ale do roju owadów, pozbawionych sądu i pamięci. W tym diabelskim tyglu wypaczono, wynaturzono język ludzki. Rzeczom odebrano ich nazwy, a nazwom treść. Mnóstwo niedorzecznych i przewrotnych pojęć weszło do idei, słów i czynów ludzi zajmujących się polityką, do książek uczonych i literatów, do prasy i do mowy potocznej.

Te pojęcia były niesłychanie zaraźliwe, ulegało im wielu z tych co bynajmniej nie wyznawali poglądów faszystowskich. Jedni przyjmowali je tak, jak się przyjmuje obiegowe komunały — z lenistwa, drudzy nie umieli się ich ustrzec z braku kontroli nad sobą. Iluż zaś autorów poddało się ich wpływom przez nie-szczęsne pragnienie, by się wyróżnić! Szło się na lep filozofii dynamizmu, brało się za energię, za siłę, za dobroczynną i twórczą wolę to, co w istocie było pochwałą brutalności. Z dnia na dzień świat stawał się coraz bardziej barbarzyński i razem z prawdziwymi barbarzyńcami pracowali nad tym na wpół nieświadomie lub zgoła bezwiednie ludzie niewątpliwej kultury.

Jak we wszystkich okresach upadku, styl nabrzmiał przesadą



i ta skłonność do przesady stała się tak zaraźliwa, że nie umieli się jej oprzeć nieraz najuczciwsi pisarze. Trudno bowiem bezkarnie oddychać zatrutym powietrzem. A ponad wszystkim szalała orgia złowrogiej bezmyślności. Zbyteczne dziś przypominać, dokąd zaprowadziły ludzkość słowa opętańców. Straszliwe i odrażające fakty są wyrte w pamięci świata, a proces norymberski utrwala je dla przyszłych historyków tej nieprawdopodobnej dekadencji naszego rodzaju.

Ludzkość znalazła się nad brzegiem otchłani. Miliony osobników żywionych pojęciami i słowami piekielnymi, zeszyli już w tę otchłań i wzywały innych, by pójść za nimi. Ja, który żyłem sześć lat pod okupacją niemiecką, wśród koszmarów nieznanym w historii świata, mam dotąd uszy pełne tego głuchego i okropnego głosu otchłani.

Wychodziły z niej potwory. Widzieliśmy je co dzień i oddychały one tym samym co my powietrzem. Były podobne do istot ludzkich. Często byli wśród nich nawet uczeni w okularach, bywalcy bibliotek i laboratoriów. To oni właśnie dokonywali wiwisekcji i zbrodniczych doświadczeń na żywym cieles niewolników z obozów koncentracyjnych. To wśród nich znaleźli się ci skrupulatni erudyci, którzy klasyfikowali nasze dzieła sztuki: osobno do zniszczenia na miejscu, osobno na wywiezienie do Niemiec. Zdarzały się potwory o powierzchowności pogodnej i dobroduszej, takiego właśnie podsuwa mi pamięć w tej chwili. Nazywał się Kaiser, w wojsku polskim dosłużył się rangi kapitana, a pod koniec września 1939 r. zamienił mundur przybranego wojska na zielonkawą strój cywilny i kapelusz tyrolski. Zrobiono go landwirtem. Urzędował w małym miasteczku — rumiany i zażywny. Pewnego dnia wybrał się do lasu i polował na ukrywających się tam żydów i strzelał do nich jak do zajęcy.

Każda godzina tych okrutnych 2000 dni wpisywała się w pamięć zdumiewającymi dokumentami duszy ludzkiej. „Człowiek — istota nieznaną” odkrył swe nowe, przepastne tajemnice. Muszą one być opisane i zbadane, nie wolno ich odsunąć jak zbyt dokuczliwy materiał, byłoby to bowiem małodusznością albo i tchórzostwem. Wielu jednak pisarzy, zwłaszcza w krajach, które to przeżyły, podjęło już pracę nad tym bolesnym rozdziałem psychologii, świadomych jego doniosłości, w nieodpartym przekonaniu, że groźne doświadczenie zostało nam dane dla zbawienia przyszłości.

Wszędzie mówi się dzisiaj o godności ludzkiej. To stary problem humanistyczny. Odnajdujemy go pod piórem największych pisarzy antyku, zajmują się nim wszyscy wielcy doktorzy średniowiecza, wraca on w czasach Odrodzenia, kiedy szlachetny Pico della Mirandola poświęca mu natchnioną książkę. Godność ludzka szuka środków, aby się utrwalić w etyce, w instytucjach, w prawach, w obyczajach. Szuka również swego wyrazu w myśli i w słowie. W naszej epoce myśl i słowo służyły do spodlenia człowieka. Słowo przestało być narzędziem ducha. Zgubiło się nieraz całkowicie znaczenie słów, albowiem wystarczał zgiełk i krzyk. Miało się wrażenie, że dobre, stare słowa, tak pewne i solidne, wierni towarzysze ducha europejskiego na drodze postępu, wyrazy uczciwe, mocne i szczerze opuściły nas, zostawiając pole opętanej hołocie — tym słówkom z rynsztoku, tym produktom ćwierćinteligentnych mózgów, z których składał się żargon propagandy jawnej czy zamaskowanej.

Pierwszą więc rzeczą i nie najmniejszą, którą możemy, którą powinniśmy zrobić to odbudować godność mowy ludzkiej. Ten

obowiązek należy do spraw, związanych z odpowiedzialnością dzieła literackiego. Walczymy o wolność słowa i to jest nasze święte prawo, lecz nie zapominajmy również o dyscyplinie, o kontroli nad sobą i wszystkim co wychodzi spod naszego pióra. Nie na próżno tak wiele się dziś mówi o humanizmie. Mniejsza, że niejeden z tych co o nim mówią widzi go w mętnej mgłę, bo i on również, tak samo jak i bardziej świadomi, wyraża głęboką potrzebę naszych czasów: oczyścić się w atmosferze pojęć jasnych i szlachetnych, w słowie dokładnym i właściwym, w umiarze i w harmonii.

Nasze czasy, wymagają od nas wielkiej czujności. Nie powinniśmy pozwolić, by słowo, oddane w niewolę złowrogich namiętności, stało się materiałem palnym na unicestwienie tego co jeszcze pozostało z budowli, wzniesionej przez rozum ludzki, wśród której narodziła się i wzrosła nasza cywilizacja. Koledzy mi wybaczą, że nie wniosę żadnej rezolucji, nie myślałem o tym wcale. Jest to tylko wezwanie, apel do sumienia pisarzy, moich współczesnych, moich braci z ducha, rozproszonych po naszym znękanym świecie, i jeśli rzucam go z tej trybuny, czynię to w przekonaniu, że my właśnie, słudzy ideałów P.E.N., powinniśmy dać przykład i wpływać na wszystkich innych pracowników słowa.

STANISŁAW OSSOWSKI

## CÓRKA KILKU MATEK

ŚRODOWISKO SPOŁECZNE A DUSZA JEDNOSTKI.

„L'âme est fille de la cité” — dusza jest córką społeczeństwa. W takim oto aforyzmie pod koniec XIX wieku jeden z socjologów francuskich Izoulet zawarł myśl o wszechstronnej zależności jednostkowej psychiki od społeczeństwa, którego jednostka jest członkiem. Jakie społeczeństwo, takie i dusze, które w nim żyją: „W społeczeństwie pierwotnym — dusze pierwotne, w społeczeństwie głębokim i wyrafinowanym — głębokie i wyrafinowane dusze”<sup>\*</sup>.

Dzieło Izouleta, swego czasu głośne, a dziś prawie zapomniane, nosi piętno upojenia perspektywami, jakie początkująca socjologia rozwarła przed badaczem człowieka i spraw ludzkich. Literackie po części, po części publicystyczne raczej niż naukowe, było ono zapowiedzią rozległych i pomysłowych studiów Durkheima i jego szkoły, które mogłyby sobie tamten aforyzm o córce społeczeństwa przyjąć za motto. Wszak Durkheim w rozpowszechnionym po najróżniejszych kulturach przeciwstawieniu duszy i ciała widzi przeciwstawienie dwóch sfer osobowości ludzkiej: sfery indywidualnej i sfery społecznej<sup>\*\*</sup>. Deifikując społeczeństwo przypisuje mu atrybuty boskie, wśród nich — atrybut stwórcy dusz.

Z durkheimowskiej interpretacji popularnego przeciwstawienia duszy i ciała nie wynika, aby psychika ludzka miała być w całości tworem społeczeństwa; wprost przeciwnie, Durkheim od-

\* Izoulet *La cité moderne* (1894) str. 150.

\*\* „*Les formes élémentaires de la vie religieuse*,” str. 376-377.

najduje w niej właśnie zasadniczą dwoistość, której wycucie miało w wierzeniach ludowych przybrać formę tamtego przeciwstawienia: dwoistość uwarunkowanych biologicznie elementów indywidualnych i uwarunkowanych społecznie elementów „świadomości zbiorowej”\*. Ta dwoistość tłumaczy nam różnorodne konflikty psychiczne jednostki. Świętość, niesamowitość i cały zakres przeżyć religijnych, intuicje moralne, myśl logiczną, kategorie czasu, przestrzeni i przyczynowości, sądy aprioryczne, np. — pewniki w matematyce, posiadające moc niedosiężną dla naszych prywatnych doświadczeń, podobnie jak nakazy moralne i dogmaty religijne, wreszcie wszelkie pojęcia wspólne ludziom, używającym tego samego języka, w przeciwstawieniu do prywatnych wyobrażeń różnych u każdej osoby — to wszystko, według Durkheima, nie tylko zostało w psychice indywidualnej wytworzone przez społeczeństwo, ale nosi piętno ponadindywidualne, przeciwstawiając się innym czynnikom naszej osobowości, jako coś im obcego i nierównie bardziej doniosłego.

Sugestywne i płodne wywody durkheimowskie, chociaż oparte na bogatym materiale faktycznym, nie są przeznaczone dla dociekliwych krytyków, którzy nawykli pytać o legitymację każdego zdania, o treść dokładną każdego pojęcia, np. pojęcia tak kłopotliwego jak „świadomość zbiorowa”. Ale to nam w tej chwili nie przeszkadza. Wprowadziliśmy tutaj Izouleta i Durkheima, aby uwydatnić dystans pomiędzy nowoczesną socjologią a dawną koncepcją człowieka, którą sugerowały wierzenia religijne, koncepcją człowieka o substancjalnej duszy, mogącej przejawić pełną swą istotę niezależnie od wszelkich kontaktów społecznych. Biblijny Adam nie potrzebował żadnego towarzysztwa, aby stać się pełnym człowiekiem, wyposażonym w wiedzę pojęciową. Mógł nadawać zwierzętom imiona, zanim jeszcze z jego żebra powstała współmieszkanka Raju. Przez długie wieki nie dziwiło to nikogo. W podobny sposób przedstawiał sobie ludzką naturę i ludzkie możliwości Ibn Tofail, uczoney arabski z XII wieku, gdy pisał dzieło o „Jedynym człowieku”, które w r. 1671 doczekało się przekładu na język łaciński p.t. „Philosophus autodidactus”. Tak patrzył na człowieka jeszcze w wieku oświecenia Gaspard de Beaurieux, którego bohater, „L'élève de la nature” (1764) jest istotą odosobnioną, kształtującą się bez niczyjej pomocy. — A ostatecznie przecież i Rousseau wierzył w autonomiczność natury ludzkiej, w możliwość wyzwolenia człowieka w znacznej mierze od ludzkich wpływów.

Na radykalne zerwanie z taką koncepcją nie trzeba było jednak czekać aż do czasów Izouleta i Durkheima. Przekonanie o zależności natury ludzkiej od organizacji społecznej od panujących praw obyczajów i instytucji ugruntowało się już u pisarzy rewolucyjnych z końca XVIII wieku w związku z wiarą w postęp ludzkości w doskonalenie się człowieka poprzez radykalne przeobrażenia społeczne. Czyż potrafimy znaleźć — pisał Condorcet — jakiś nawyk występny, jakiś zwyczaj rażący sumienie, jakąś zbrodnię nawet, których źródłem, których pierwszą przyczyną nie byłoby prawodawstwo, instytucje albo przesady kraju, gdzie panuje ten nawyk czy ten zwyczaj i gdzie bywa popełniana owa zbrodnia?\*\*\* Ale u tych myślicieli z czasów wielkiej rewolucji

\* „Nous sommes donc réellement faits de deux êtres qui sont orientés en des sens divergents et presque contraires.” (Ibid. str. 377.)

\*\* Condorcet „Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain,” ed. III-e, Paris 1868, t. II, str. 86.

nie mamy jeszcze pojmowania natury ludzkiej jako funkcji życia społecznego. Natura ludzka ma swoją własną autonomiczną linię rozwoju, a źle urządzone społeczeństwo odpowiedzialne jest głównie za wynaturzenia, jakim podlegają jednostki w jego łonie.

Dopiero przeszło w pół wieku później człowiek o potężnym temperamencie badacza i reformatora społecznego w konsekwentny sposób ujmie psychikę ludzką — zarówno w jej dążeniach i reakcjach uczuciowych jak w sposobach myślenia i pojmowania rzeczywistości — jako wytwór społeczny, zdeterminowany przez warunki, w jakich się znajduje zbiorowość. Tym człowiekiem był Marks. Wyprzedził on pod tym względem Durkheima o lat jakieś pięćdziesiąt. Ponieważ jednak postać jego związała się raczej z ruchem robotniczym niż z nurtem socjologii, a poglądy swoje dotyczące zależności ludzkich dyspozycji psychicznych od warunków społecznych wypowiedział tylko przy okazji, jakby na marginesie rozważań, poświęconych innym sprawom, przeto Durkheim — który z koncepcjami Marksa zetknął się późno, kiedy już miał własną teorię rozwoju społecznego, przy czym, jak twierdzi, Marks nie wywarł nań żadnego wpływu — Durkheim mógł się uważać i mógł być uważany za niezależnego od nich pioniera nowych poglądów na stosunek jednostki i społeczeństwa; tym więcej, że stanowisko Marksa było mu tak bardzo obce nie tylko pod względem tendencji ideowych: nie mniej obce było w ogólnej koncepcji społeczeństwa.

Ideowo Marks był bliższy raczej pokoleniu Condorcet'a o tyle, że przekonanie o zależności człowieka od warunków społecznych wiązał — jak oni i jak „środowiskowcy”\*. XX-ego wieku — z tendencją do radykalnych reform społecznych: w zmienionym społeczeństwie miały się rozwinąć inne, dokonalsze lub sympatyczniejsze typy ludzkie. Natomiast kult społeczeństwa w pismach Izouleta i Durkheima, będący swego rodzaju reakcją na anarchizm i indywidualizm prądów kulturalnych na przełomie XIX i XX wieku, sprzyjał raczej tendencjom zachowawczym, wywody zaś Izouleta są nawet wymierzone przeciw hasłom równości nurtującym ówczesne środowiska demokratyczne.

#### ORGANIZM PAŃSTWOWY I KLASA SPOŁECZNA.

Wiąże natomiast Marksa i Engelsa z Durkheimem zainterесowanie wpływem pewnej specjalnej zbiorowości na jednostkę a nie jakiegokolwiek otoczenia społecznego: i tu i tam uwaga skierowana jest, mianowicie, na wpływ zbiorowości, której jednostka czuje się członkiem. Przedstawiciele obu tych kierunków wiąże specjalny nacisk na psychotwórczą rolę przynależności do grupy społecznej. Wiąże i dzieli. Bo typ zbiorowości, o którą idzie w jednym i w drugim wypadku, jest zupełnie odrębny. Dla Marksa, jak wiadomo, najważniejszym czynnikiem determinującym dyspozycje psychiczne jednostki jest przynależność do klasy społecznej. Piętnem społecznym, które charakteryzuje zarówno psychikę jednostki — w jej świadomych i nieświadomych treściach — jak wszelkie zjawiska kultury, jest według Marksa piętno klasy, t. zn. takiej zbiorowości, która ogarniając tylko część społeczeństw terytorialnych, nie zamyka

\* „*Environmentalists*” — tak nazywają w Ameryce antropologów i socjologów, którzy większą rolę w kształtowaniu się ludzkich charakterów i uzdolnień przypisują wpływom środowiska niż czynnikom wrodzonym, przeciwstawiając się „instynktywistom” i „rasistom.” (Por. St. Ossowski: „Więź społeczna i dziedzictwo krwi,” Warszawa 1939, str. 5 i nast.)

się bynajmniej w granicach żadnego z nich. Według socjologów francuskich społeczeństwem odpowiedzialnym całkowicie za kształtowanie dusz ludzkich jest wyposażone w jakąś naczelną władzę społeczeństwo terytorialne, albo ściślej — uwzględniając zbiorowości koczownicze — społeczeństwo oparte na łączności przestrzennej, choćby nawet nie było przywiązane do jakiegoś stałego terytorium. Społeczeństwem takim będzie zarówno koczujące plemię australijskie, jak miasto greckie lub średnio-wieczne, czy nowoczesne państwo.

Marks w życiu społecznym dostrzegął przede wszystkim konflikty. Socjologia końca XIX w. rozwija spencerowską analogię między organizmem wielokomórkowym i społeczeństwem — i w związku z tym w życiu społecznym dostrzega przede wszystkim harmonijne współdziałanie zróżnicowanych zespołów. Dla Durkheima podstawową formą więzi społecznej w skali przekraczającej zbiorowości lokalne jest patriotyzm, chociaż autor raczej unika tego terminu. Dla Marksa jest nią solidarność klasowa, rozsadzająca wszelkie społeczeństwa terytorialne. Kiedy Marks uważa walkę klas w klasowym społeczeństwie nie tylko za zjawisko normalne, ale właśnie za dźwignię postępu, dla Durkheima walka klas jest stanem patologicznym, o którym stara się on w swoich rozważaniach o ile możności zapomnieć.

W tych całkowicie odmiennych aspektach rzeczywistości społecznej przy kontrastujących tak silnie poglądach na całe funkcjonowanie życia społecznego, w szczególności zaś na stosunki pomiędzy składnikami wielkich społeczeństw współczesnych, znajdujemy znowu u Marksa z jednej, u Izouleta i Durkheima z drugiej strony pewną zbieżność w pojmowaniu zbiorowości jako czynnika kształtującego osobowość jednostek: oto zarówno tu jak i tam wchodzi w grę jedna tylko kategoria grup społecznych: tu — klasa społeczna, tam — zbiorowość terytorialna.

Autorowie Manifestu Komunistycznego wychodzili z założenia, że życiem społeczeństw i postępowaniem jednostek kierują czynniki ekonomiczne, że w dzisiejszym społeczeństwie, opartym na prywatnej własności środków produkcji, elementarnym i podstawowym faktem w życiu jednostki jest utrzymanie, że sposób w jaki ktoś zdobywa utrzymanie, decyduje zazwyczaj nie tylko o warunkach jego życia i o warunkach wychowania dzieci, ale również o sposobie myślenia i o poczuciu łączności społecznej. Dlatego interesowała ich niemal wyłącznie przynależność jednostek do zbiorowości, opartych na jednakowej roli w procesach produkcji i na wspólnocie interesów ekonomicznych: przynależność do klas społecznych. Ze względu na cele społeczne które kierowały ich pracą pisarską, ze względu na dążenie do wyzwolenia proletariatu, do zburzenia struktury klasowej społeczeństw europejskich, tylko ta jedna przynależność była dla nich ważna.

U Izouleta i Durkheima także jest tylko jedna kategoria grup społecznych która może sobie rościć pretensję do funkcji psychotwórczej względem poszczególnych jednostek. Ale u nich uproszczenie rzeczywistości społecznej sięga dalej: socjologowie francuscy przedstawiają sprawę tak, jak gdyby w każdym wypadku istniała tylko jedna zbiorowość, w której jednostka uczestniczy, jak gdyby dusza, córka społeczeństwa, była istotnie córką jednej tylko matki. Pogląd taki jest wynikiem deformującej obraz społeczeństwa analogii z organizmem wielokomórkowym: komórka może należeć tylko do jednego organizmu, a więc



zakłada się, że i jednostka ludzka jest członkiem jednej tylko, chociażby bardzo złożonej społeczności, społeczności zorganizowanej z centralną władzą będącą odpowiednikiem mózgu w organizmie zwierzęcym. Na socjologów francuskich niewątpliwie wywierały pod tym względem sugestię zcentralizowane urządzenia Rzeczypospolitej Francuskiej z jej jednolitym systemem szkolnym, zwartą administracją i utożsamianiem oficjalnym przynależności narodowej z przynależnością państwową.

#### UCZESTNICTWO W KRZYŻUJĄCYCH SIĘ ZBIOROWOŚCIACH.

Mamy tedy do czynienia z dwoma różnymi uproszczeniami rzeczywistości społecznej i z dwoma różnymi uproszczeniami struktury psychiki jednostkowej. Uproszczenie badanej rzeczywistości bywa zabiegiem stosowanym świadomie i celowo; a nawet gdy nie jest stosowane świadomie, może być płodne w rezultaty naukowe. W tym wypadku jednak musimy zdać sobie sprawę z przekształceń, jakim ulega nowoczesne społeczeństwo, gdy się nań patrzy przez durkheimowski pryzmat.

Jeżeli w pierwotnym społeczeństwie plemiennym można by od biedy uważać jednostkę za wchłoniętą całkowicie przez jedną grupę społeczną, to w społeczeństwach bardziej skomplikowanych, w szczególności zaś na gruncie nowoczesnej cywilizacji europejskiej jednostka uczestniczy równocześnie w mniejszej lub większej liczbie różnych zbiorowości. Niektóre z nich są grupami koncentrycznymi: jedna grupa stanowi część grupy szerszej, która z kolei jest objęta przez jeszcze szerszą grupę (np. robotnicy jednej fabryki — robotnicy jednej gałęzi przemysłu — proletariat robotniczy; albo mieszkańcy jednej wsi — zespół mieszkańców regionu — naród). Takie koncentryczne grupy istnieją i w społeczeństwie pierwotnym (rodzina — klan — fratria — plemię), a przynależność do nich nie sprawia specjalnych komplikacji i nie dyskredytuje analogii z organizmem, bo w organizmie także istnieją zespoły komórek, stanowiących funkcjonalne całości, z których jedne są częścią drugich.

Ale jednostka w nowoczesnym społeczeństwie należy nie tylko do grup koncentrycznych; może ona należeć do kilku zespołów niezależnych krzyżujących się ze sobą: jest członkiem pewnej klasy społecznej, członkiem kościoła, obywatelem państwa, członkiem narodu, który nie pokrywa się z zespołem tych obywateli, uczestnikiem organizacji politycznej lub naukowej, sięgającej poza granice narodu i państwa; albo — biorąc pod uwagę stosunki w mniejszych zbiorowościach — jest uczestnikiem gromady wiejskiej, związku zawodowego, organizacji spółdzielczej sportowej, organizacji politycznej, gminy religijnej itd.

Wprawdzie, jeżeli idzie o zespoły o szerokim zakresie, to jest wśród nich jeden, który dzięki władzy centralnej, rozporządzającej wszelkimi środkami przymusu, usiłuje wyodrębnić objęte swoim zakresem części krzyżujących się z nim zbiorowości i podporządkować je sobie wspólnie z lokalnymi koncentrycznymi grupami. Tą organizacją pretendującą do wyłączności jest właśnie nowoczesne państwo, które stara się, jeżeli nie zniszczyć, to przynajmniej osłabić wszelkie typy łączności społecznej pomiędzy częścią jego obywateli i częścią obywateli innych państw, czy to będzie wchodziła w grę międzynarodowa solidarność klasy robotniczej, czy np. międzynarodowe związki o charakterze ideowym. Pod tym względem typ nowoczesnego państwa totalistycznego ze swoim postulatem samowystarczalności, z

tendencją do kierownictwa wszelkimi formami życia społecznego w swoim zakresie, z dopuszczaniem do kontaktów międzynarodowych tylko za swoim pośrednictwem, z aspiracjami do wytworzenia narodowego lub państwowego kościoła, — typ takiego państwa najbardziej się zbliża do h i p e r o r g a n i z m u Izouleta i Durkheima, zbliża się nierównie bardziej niż ówczesna Francja, stanowiąc równocześnie pod pewnymi względami nawrót ku formom życia plemiennego, tylko w jakiejś nieporównanie szerszej skali.

Ale i państwo totalistyczne nie osiągnęło ideału: nie zdołało całkowicie zmonopolizować społecznego życia jednostek, nie potrafiło zlikwidować ostrych konfliktów wewnętrznych. Musimy tedy w rozważaniach nad strukturą osobowości liczyć się z faktem, że jednostka czuje się równocześnie uczestnikiem kilku niezależnych od siebie zespołów. Więcej jeszcze: musimy brać także pod uwagę możliwość kolejnej przynależności do grup społecznych, które się wzajem wyłączają. Człowiek może przejść z jednej organizacji politycznej do drugiej, może się zdeklasować albo przejść do innej klasy w drodze awansu społecznego, może zmienić wyznanie lub przynależność państwową, może się wynarodowić.

Zdarza się i tak że ktoś pragnie przejść do innej grupy ze względów ideowych, a tymczasem sposób życia, nawyki, stosunki towarzyskie wiążą go z grupą, w której dotąd uczestniczył. Tak bywało np. z arystokratą, obszarnikiem lub przedstawicielem zamożnego mieszczaństwa, który w imię zasad sprawiedliwości społecznej oddawał się w służbę klas uciśnionych. Pragnął solidaryzować się w pełni z rzeszami upośledzonych, przejął ich troskami, ich sposobem patrzenia na świat i na życie, a równocześnie odczuwał wbrew własnym intencjom swą przynależność do warstwy ziemiańskiej czy do burżuazji.

Można spotkać niekiedy i takie wreszcie wypadki, wypadki z punktu widzenia wszelkiej etyki społecznej patologiczne, że ta sama jednostka czynnie uczestniczy w dwóch nie tylko obcych, ale wrogich sobie zespołach, ukrywając w każdym z nich swą istotną rolę w drugim zespole... Będzie to np. sytuacja pracownika, który utrzymując przyjazne stosunki z kolegami i współdziałając z nimi w walce przeciw wyzyskowi ze strony dyrekcji, równocześnie pełni funkcje donosiiciela w stosunku do dyrekcji, funkcję, która zresztą może być złagodzona formą towarzyskich stosunków z dyrektorem czy z jego zaufanymi, jeżeli wchodzi w grę pracownik umysłowy a nie np. robotnik fabryczny. Podobnie będzie z policjantem, uczestniczącym w organizacji bandyckiej, z księdzem współdziałającym konspiracyjnie w akcji antyreligijnej, z komunistą zaangażowanym w akcję „państwowotwórczą” za rządów sanacji w Polsce; szczególnie ciekawym przykładem byłaby sytuacja takiego Azewa, który, jak się zdaje, nawet wewnętrznie lawirował pomiędzy przynależnością do Ochrony i przynależnością do organizacji rewolucyjnej.

#### SYNTEZA WPLYWÓW CZY NURTY NIEZALEŻNE?

Ale nie rozpraszajmy uwagi na sytuacje wyjątkowe, gdy i tak mamy dosyć materiału, aby postawić zagadnienie: jakże będzie z tą duszą, córką społeczeństwa, skoro człowiek może należeć do kilku zbiorowości, z których każda jakoś modeluje jego psychikę? Czy posiada on wówczas kilka dusz, czy też będzie miał jedną syntetyczną duszę, zrodzoną — wbrew wszelkim prawom biologii

— z kilku matek? Albo, mówiąc językiem mniej patetycznym, czy w wyniku przynależności do kilku grup społecznych wytworzy się zespół dyspozycji psychicznych, stanowiących wypadkową wpływów wywieranych przez poszczególne środowiska, czy też będziemy mieli do czynienia ze współistnieniem odrębnych dyspozycji, odrębnych postaw psychicznych, które się wytworzyły oddzielnie przez uczestnictwo jednostki w każdej z owych grup i które nie stapiają się ze sobą, tak jak nie stapiają się ze sobą różne role tego samego aktora.

Znamy procesy psychiczne i jednego i drugiego rodzaju. W pewnych wypadkach nawyki, jakie wynieśliśmy z jednego środowiska, ulegają zmianom pod wpływem innych środowisk. Kiedy indziej nowe środowisko nie modyfikuje dawnych nawyków, tylko wytwarza inne nawyki, od tamtych niezależne. Język wieśniaka, który część swego życia spędza w mieście, staje się zwykle czymś pośrednim pomiędzy prowincjonalną gwara wiejską i językiem środowiska miejskiego. Ale bywa i tak, że ktoś zachowa prawie niezmienną swoją wiejską gwara, opanowawszy równocześnie język literacki, którego używa w środowisku miejskim; w ten sposób są to dla niego dwa odrębne języki, które się ze sobą nie mieszają. Religijność osoby, wychowanej w środowisku tradycyjnym może ulec zmianom pod wpływem środowiska bezreligijnego: może stać się mniej dogmatyczna, bardziej swobodna w stosunku do praktyk religijnych, może kusić się o racjonalizację postulatów i dogmatów danej religii, albo np. przeobrazić się w jakiś mistycyzm bezwyznaniowy. Można jednak wskazać przykłady, kiedy w bezreligijnym racjonalistycznym środowisku osoba jakaś zachowuje nieknięte swoje tradycyjne postawy, a równocześnie pod wpływem nowego środowiska kształtują się w niej postawy racjonalistyczne. W pewnych okazjach te dochodzą do głosu, w innych tamte.

Od czego to zależy, że przynależność do kilku zbiorowości może mieć jako skutek bądź syntezę wpływów, bądź współistnienie odrębnych dyspozycji? Decydują o tym zapewne różne czynniki: i typ zbiorowości i stosunek wzajemny grup społecznych, które wchodzi w grę, i typ psychiczny jednostki, i stosunek jednostki do zbiorowości. Inaczej kształtują osobowość jednostek wpływy grup obcych, do których jednostka nie należy, chociaż ma z nimi do czynienia (np. wpływ środowiska cudzoziemskiego na turystę albo wpływ środowiska inteligenckiego na robotników), wpływy grup fikcyjnych albo grup, z którymi jednostka nie ma bezpośredniej styczności w czasie i przestrzeni i z którymi obcuje tylko w drodze wyobraźni np. poprzez literaturę, wpływy środowisk luźnych, amorficznych nie stanowiących żadnej zbiorowości, która by posiadała świadomość swej struktury i łączności grupowej, inaczej zaś wpływy grup społecznych, do których jednostka czuje wyraźną przynależność: poczucie przynależności pociąga za sobą obowiązek dokładnego podporządkowania się wzorom, które ta grupa uznaje za ważne, pociąga za sobą przejmowanie się interesami zespołu i większą wrażliwość na sugestie z jego strony.

Silne poczucie przynależności do każdego z dwóch różnych krzyżujących się zespołów będzie prawdopodobnie sprzyjało kształtowaniu się niezależnych współistniejących postaw. W wyższym jeszcze stopniu będzie działała w tym samym kierunku równoczesna przynależność jednostki do dwóch antagonistycznych

zbiorowości, gdyż tu odrębna atmosfera uczuciowa i cała sieć skojarzeń stanie na przeszkodzie możliwościom syntezy.

Uczestnictwem jednostki w kilku różnych grupach społecznych można wyjaśnić wiele zjawisk, związanych z wielopostaciowością psychiki ludzkiej. Uczestnictwem bądź w formie trwałej i wyraźnej przynależności, bądź w formie mniej lub więcej przygodnej tylko łączności, bądź wreszcie uczestnictwem, które w znacznej mierze pozostaje w sferze aspiracji. Rozbieżności w w życiu i dziełach wybitnych pisarzy pochodzenia burżuazyjnego wyjaśniano niejednokrotnie tym, że są to jednostki, które czują niechęć do środowiska swojej klasy, próbują się zeń wyzwolić, aspirując do solidarności z innymi zespołami, a równocześnie tkwią mocno w tamtym środowisku.

„Sprzeczności w dziełach, poglądach, teoriach Tołstoja — pisał Lenin są istotnie krzyczące. Z jednej strony genialny artysta, który dał nie tylko niezrównane obrazy z życia rosyjskiego, lecz i pierwszorzędne dzieła literatury światowej, z drugiej strony — obszarnik, opętany w imię Chrystusa. Z jednej strony, niezwykle silny, bezpośredni protest przeciwko kłamstwu i fałszowi społecznemu, z drugiej strony — „tołstojowiec”, t.j. zużyty historyczny gamajda, który nazywa się rosyjskim inteligentem. Z jednej strony bezlitosna krytyka eksploatacji kapitalistycznej ujawnianie całej głębi przeciwieństw pomiędzy wzrostem bogactwa, zdobyciami cywilizacji a wzrostem nędzy, zdżyczenia i cierpień mas robotniczych — z drugiej dziwaczne apostołstwo niesprzeciwianie się złu przemocą.”

Na wiele lat przed tym w podobny sposób Engels charakteryzował przeciwieństwa w psychice Goethego: „W Goethem odbywa się nieustanna walka pomiędzy genialnym poetą, w którym wstręt budzi otaczające go środowisko, a rozsądnym synem frankfurckiego radcy lub ministrem wejmarskim który widzi się zmuszony zawrzeć ze społeczeństwem rozejm i przywyknąć do niego. Dzięki temu Goethe raz jest istotnie wielki — to znów małostkowy, raz dumny, ironiczny, pogardzający całym światem geniusz — to znów ostrożny, niewybredny, ciasny filister.”

Jeżeli uczestnictwo w różnych grupach społecznych albo więź uczuciowa łącząca w rozmaity sposób jednostkę z różnymi zbiorowościami często powoduje rozbieżności w psychice tej jednostki, to nie znaczy, aby środowisko jednej tylko grupy społecznej nie mogło wykształcić w jednostce niezgodnych ze sobą dyspozycji, odrębnych całkiem postaw, a nawet sprzecznych sądów: środowisko jednej grupy może być bardzo dalekie od jednostajności i w różnych okazjach wywierać może różne wpływy. W poszczególnych wypadkach można się z kolei zastanowić czy te zewnętrzne dysharmonie środowiska społecznego nie dadzą się również wyprowadzić z odrębności grup społecznych, takich mianowicie grup, których wpływy ukształtowały to środowisko.

#### KONFLIKTY WZORÓW A POSTAWA INTROSPEKCYJNA.

Uczestnictwo jednostki w różnych zbiorowościach ma inny jeszcze skutek psychologiczny.

Każda trwała zbiorowość narzuca swym członkom wzory reakcji mięśniowych, uczuciowych i umysłowych na najróżniejsze podniety. Inaczej mówiąc, narzuca wzory zachowania się w różnych okolicznościach, reguły moralne i poczucie tego, co przyzwoite a co niestosowne, narzuca pewne poglądy i sposoby

myślenia. Narzuca je bądź świadomie, za pomocą metod wychowawczych i propagandy, za pomocą oznak aprobaty lub nagany, niekiedy nawet przy użyciu środków zewnętrznego przymusu, bądź nieświadomie przez sam fakt zbiorowego stosowania się do owych wzorów i reguł. Ogół tych wzorów stanowi o swoistej kulturze takiej zbiorowości, a pewien ich zespół składa się na panujący w tej grupie wzór osobowy, który zresztą może bardzo odbiegać od tego ideału osobowości, jaki grupa stawia przed oczyma swym członkom niejako oficjalnie w mniej lub więcej uroczystych momentach. W poszczególnych zbiorowościach istnieje tedy wzór urzędnika i wzór nauczyciela, wzór oficera i wzór księdza albo pastora, wzór inteligenta i robotnika fabrycznego, wzór katolika i kwakra; istniał wzór szlachcica i wzór wiernego sługi, wzór sędziego i wzór woźnego trybunału, których „ostatnie egzemplarze” uwiecznił poeta w „Panu Tadeuszu”; poszczególne środowiska artystyczne mają swoje wzory artysty, tak jak poszczególne środowiska przemysłowców czy złodziei mają swoje wzory przemysłowca lub złodzieja.

Dopóki posiadamy przed sobą jeden tylko główny wzór osobowości, dopóki środowisko wskazuje nam jeden tylko sposób postępowania, sugeruje jeden tylko typ reakcji uczuciowych, dopóty nie mamy potrzeby zastanawiać się nad sobą. Refleksja nad sobą zjawia się wtedy, gdy staje przed nami wybór wzorów, do których mielibyśmy się upodabniać i gdy każdy z tych wzorów rozporządza pewną imperatywnością. Wtedy zjawia się przed nami zagadnienie: czym chcę być? A gdy zdecydowaliśmy się na jakąś odpowiedź staje drugie z kolei pytanie: jaki jest nasz dystans do wybranego przez się wzoru? Odpowiedzi szukać możemy w introspekcji.

W pierwszym rozdziale mieliśmy sposobność stwierdzić, że wglądanie w siebie samego prowadzi także do pewnych objawów wielopostaciowości psychicznej. Uczestnictwo jednostki w różnych zbiorowościach budząc potrzebę postawy introspekcyjnej i taką jeszcze tedy okólną drogą odbija się na strukturze naszej osobowości.

KAROL ESTREICHER

## ZMIANY

### VII

Tak więc poznali się nareszcie. Okazało się że mają wspólnych znajomych i przypomnieli sobie, że się dwa razy spotkali. Obgadali te spotkania, a Stanisław opowiadał Jance długo i szeroko o swych dyskusjach z Grincykiem.

Szybko się zaprzyjaźnili jeżdżąc na wycieczki lub snując się po krętych uliczkach Palermo. Nie mając roboty w konsulacie Wojniłowicz wziął urlop od Bellicchi. Rano grywał w tenisa z Janką. Odkrył nagle, że lubi zwiedzać kościoły i muzea, że podobają mu się romantyczne ruiny, że kocha morze i że znajduje przyjemność tańcząc. Zatelegrafował do ciotki aby mu przysłała pieniądze, większą sumę. Bo jak przedtem miał zbytek pieniędzy, tak mu teraz nie dostawały.

„Nareszcie, nareszcie zaczyna dojrzewać” — pomyślała w Warszawie panna Chroberska i przekazała mu żądane dwa tysiące. Domyślała się jakiejś sercowej afery, bo listy Stanisława ograniczyły się do krótkich notatek, z których nie wiele mogła się dowiedzieć. Zwierzyła swe przypuszczenie Ankwiczowi, gdy ten w przyjacielskiej rozmowie pytał o Stanisława, a Ankwicz mimochodem wspomniał o tym księdzu Matusikowi, gdy ten powrócił z Włoch.

Janka zapominała o swych przejściach z mężem. Stanisława polubiła bo był dla niej towarzyszem gotowym na każde zawołanie, wymyślającym rozmaite zabawy i przyjemności. Polubiła go także za to, że dyskutował ciągle o wszystkim, a głównie o polityce, ekonomii, religii i sprawach społecznych. Przeczytawszy jakąś książkę streszczał ją z zapałem, Janka słuchała tego co mówił i uczyła się od niego. Nawzajem ona zwracała mu uwagę na piękno natury czy dzieł sztuki, wpajała weń zrozumienie dla przyrody i tak uzupełniali sobie czas.

Zbliżając się do siebie wzajemnie, poznając się lepiej jeszcze nie myśleli o sobie kategoriami pożądania. Wojniłowicz był na to za nieśmiały, ona zbyt zniechęcona życiem małżeńskim, aby przyjaźń jaką czuła dla Stanisława zamieniać na miłość. Zresztą Wojniłowicz wydawał się jej za młodym, młodszym od niej tak był niedoświadczony w obcowaniu z ludźmi i naiwny w sądzie. Wierzył że wszyscy są dlań przyjaźnie usposobieni, że są mu życzliwi a Janka czuła się bardziej od niego wyrobioną.

Pojechali do Agrigentum by zamieszkać wśród winnic i gajów pomarańczowych. Tam przypomnieli się im Sandomierz, ludzie znajomi i Janka nagle zauważyła:

— Pan nie ma w sobie żadnych wątpliwości, żadnego sceptycyzmu. Ma pan natomiast jakąś wiarę w człowieka, powiem trochę naiwną. Przekona się pan dopiero o tym kiedy się pan zawiedzie.

— Już zawiodłem się raz, mówiłem pani o tej sprawie z księdzem, o której do dziś nie myślę bez wściekłości. A jednak mimo to lub może właśnie dlatego trzeba dążyć do reformy chrześcijaństwa i katolicyzmu.

— Pan nie jest przecie katolikiem, już odszedł pan od jego uświęconego rytuału...

— A pani?

— Czy ja wiem? Kobietom jest łatwiej pogodzić się z rytuałem, bo my lubimy mity — odpowiedziała z tym bezwiednym uśmiechem, którym pokrywała zawsze niepewność swej myśli.

— Ale w człowieku tkwi instynkt religijny i ja nie jestem wolny od niego.

— U kobiet tak, ale nie u mężczyzn. Wy chyba straciliście instynkt na rzecz rozumu...

Tak dyskutowali bez końca, a w rzeczywistości ciągle mówili o sobie, o swoich pragnieniach i marzeniach. Zazwyczaj więcej prawił Stanisław. Janka pozostając bierną nie zwierzała się przed nim ze swych myśli czy przejęć. Gdy on opowiadał jej o sobie, o swej rodzinie, o planach na przyszłość, ona rzadko się odwzajemniała. Raz czy drugi wyraziła się lekceważąco o mężu i Stanisław domyślił się że życie między Wolańskimi było złe. Zauważył że Janka nie otrzymuje listów od niego i przypomniał sobie głośny romans Wolańskiego z Jołą Martysiakówną. Przypuszczał że owa zdrada męża bolała Jankę i przez delikatność omijał rozmowy na ten temat. Był pewny że Janka kocha świetnego oficera, który imponował Warszawie postawą i gestem,

a który w sferze ziemiańsko-kresowej uchodził za bohatera. Było mu jej tym bardziej żal.

Raz zauważyła:

— Pan za dużo marzy, może dlatego że pan jest taki młody.

— Ależ ja jestem starszy od pani.

— Ja mam więcej doświadczeń za sobą, znam życie.

— Czy koniecznie trzeba poznać życie przez doświadczenie i małżeństwo? — spytał i zaraz spostrzegł że powiedział to niepotrzebnie.

Odparła swobodnie:

— Zobaczysz pan kiedyś, gdy się pan ożeni.

— Nie ożenię się pewnie nigdy, nie myślałem o tym.

— A ta piękna Amerykanka Florence, która tak wodzi oczami za panem? A Rega Schönfeldówna, o której pan sam opowiadał, że się panu podobała?

Kiedyś opowiedział jej dokładnie przebieg swoich sporów w „Przyszłości” i z goryczą charakteryzował księdza, a chwalił Pieczarskiego. Wyznał:

— Ja nie mam tego co on zaparcia się dla jakiejś idei, tej chłopskiej siły, która na pewno sprawi że będzie z niego wybitny organizator i polityk.

— Zacięty i ciasny w poglądach — oponowała Janka. — Niech się pan nie zachwyca nim tak bardzo.

Nie śmiała powtarzać Stasiowi tego co mówił o nim Pieczarski podczas wizyty u doktora Kozłowskiego. Zresztą Wojniłowicz zaczął przed nią rozsnuwać jakieś ekonomiczne teorie a ona słuchała nie zawsze rozumiejąc o co mu chodzi, ale zadowolona z jego zapału i werwy.

— Wierzę głęboko — mówił — że nie ma przyczyn które by dzieliły Kościół od sprawiedliwego i równego rozdziału dóbr między masy. Chrześcijaństwo na dwa tysiące lat przed socjalizmem odkryło go i jeśli go nie wypełniało, to dlatego że środki techniczne były za ubogie; nie znano ekonomii, nie wiedziano o prawach gospodarczych, które rządzą światem.

Życie codzienne stwarzało wokół nich sytuacje dwuznaczne, ale oni śmieli się i mówili o tym z całą otwartością. Brano ich często za małżeństwo i nie próbowali się tłumaczyć przed obcymi. Wspólne zabawy, sporty, wycieczki wielokrotnie stawiały ich w sytuacji, które byłyby ambarasujące dla Janki, gdyby nie jego prostota i szczerść z którą traktował te sprawy, jakby nie przypuszczając że może być inaczej:

— Nasze Amerykanki w pensjonacie są przekonane że pani jest moją narzeczoną. Florence mnie o to zapytała.

— I mnie się o to pytała, projektując wycieczkę jej dwuosobowym samochodem. Myślała że będę miała coś przeciwko temu jeśli pana zaprosi na przejażdżkę.

Dlatego że Stanisław traktował Jankę jak kolegę, że wymagał od niej tego samego wysiłku fizycznego, że zdawał się nie widzieć jej urody, lubił ją jego towarzystwo.

Właśnie wyszedł z morza, mokry strząsając i wypluwając wodę i namawiał ją na kąpiel i skoki ze skały. Oponowała.

— Pan ciągle myśli że ja mam siły mężczyzny.

— Niech się pani nauczy. To bardzo łatwo skakać.

— Ale woda dla mnie za zimna.

— Tylko z początku. Potem jest gorąco. Zwłaszcza jak się wyjdzie. Prędko, niech się pani rozbierze.

Śmiała się gdy biegł z nią razem do morza, krzyczała, podrapała go bijąc się z nim i nie pamiętała by było jej kiedykolwiek

tak dobrze jak w ów kwietniowy poranek, kiedy skoczył z nią razem ze skalistego brzegu na głębię.

Teraz leżał na plaży i zasnął zmęczony w upale słońca, a ona może po raz pierwszy zauważyła że Stanisław jest przystojny, zdrowy i silny. Patrząc w jego usta rozchylone w twardym śnie czuła jakąś tkliwość, wstała i ubrała się szybko, bo zobaczyła że z daleka nadchodzą dwie Amerykanki, Florence z matką.

Nie widziała powodu właściwie dla którego szybko narzuciła suknię i poprawiła włosy. Czyż nie wolno jej w kostiumie kąpielowym leżeć nad morzem? To przecie jest rzeczą naturalną i powszechnie przyjętą w dzisiejszych czasach? — myślała. Skądże wstyd i ta pruderia? Ale z drugiej strony ubrana czuła się pewniejsza wobec Florence. Miała wrażenie że jeśli zobaczonoby ich razem spoczywających tak w słońcu, myśli jej zostaną z łatwością odczytane. Przypomniała sobie nagle jakiś niedawny sen i miała wrażenie, że właśnie przed chwilą przeżywała go po raz wtóry. Narzucenie sukni przywracało jej pewność siebie, okrywało z powrotem jej myśl czy uczucie.

Florence podbiegła do Stanisława i obudziła go pocałunkiem. On zawstydził się, ona klaskała w ręce. Była starsza od Janki i Stanisława, ale ukrywała swój wiek zręcznie przez wysportowanie. Dawała do poznania że zwiedza Europę po zawodzie miłosnym, jaki rok temu przeżyła w Kalifornii, gdy porzuciła ją pewien słynny aktor filmowy. Pozwalała matce opowiadać szczegóły tej historii, a sama wymyślała co chwila jakąś nową zabawę, wysuwała jakieś świeże pomysły, jak dziecko znudzone i zepsute. Nie była tyle ładna co świetnie zrobiona, miała moc sukien, bucików, kapeluszy w które przebierała się parę razy dziennie. Jankę irytowała pewnością siebie i krzykliwością, bezpośredniością obojczy, nie pozbawionego wdzięku.

Na zabawach i sportach płynął im czas a Florence coraz bliżej współżyła z nimi, aż raz gdy Stanisława wywiozła autem za miasto, Janka po raz pierwszy poczuła że jest zazdrosna o niego. Uczucie którego nigdy nie żywiła w stosunku do męża, w którego istnienie nie wierzyła, to skomplikowane, z ambicji, z pragnień, z wyobraźni złożone uczucie opanowało ją na tyle silnie że jasno zdała sobie z niego sprawę. — Nie, to nie jest miłość i nie jestem zadowolona — myślała Janka. Po prostu brak mi go jako towarzysza a także moja ambicja cierpi, że nie przebywa ze mną.

Więc zeszła na dół do restauracji hotelowej, w ciemnej sukni z kwiatem wpiętym we włosy i była wdzięczna staremu pułkownikowi angielskiemu, który zaprosił ją na cocktail.

Zobaczyła w lustrze że do baru gdzie piła słodki i zimny napój wpadła Florence i Stanisław. Spojrzawszy od razu poznała że ma przed sobą rywalkę i poczuła nieprzewidywaną ochotę by się z nią zmierzyć. Czuła się silniejszą mimo niezwykle błyszczących oczu Florence, mimo pewności i dosytu jaki wyczytała w jej ruchach.

Gdy Janka zatańczyła ze Stanisławem mocny zapach perfum Florence unosił się wokół jego zmiętego ubrania, i trwało długą chwilę zanim mu powiedziała:

— Panie Stasiu zapomniał pan całkiem o mnie. Mielśmy iść do teatrzyku marionetek.

On przeproszał, zwał na wóz który się zepsuł, jękał się, wymawiał niezręcznie.

W Jance nagle powstała jakaś pasja, zaczepność i pewność siebie, której nigdy potem nie umiała określić przed sobą.



Śmiała się i bawiła tą sytuacją. Wypiła jeszcze cocktail. Pomysłała:

— Jeżeli jestem zakochana, to to nie jest wcale takie straszne.

I gdy w tydzień po opisanych wypadkach Stanisław całował jej gorące usta wyznała mu, szczerze myśląc że tak było w istocie:

— Ale ja nigdy nie myślałam o tobie...

Rozpoczął się dla nich najpiękniejszy, najgorętszy okres życia pełnego wyznań i czułości, zamknięcie wszystkich ambicji we wzajemnym oddaniu, w tkliwości obopólnej najgłębszych porozumień. Była dumna z niego, była szczęśliwa, zapomniała o wszystkim.

Szli razem drogą wśród winnic i gajów, a przed nimi Etna wyłaniała się jak olbrzymie zwierzę dyszące miarowo.

— Sądziłam dawniej, że miłość trzeba ukrywać przed obcymi, że będę wstydić się miłości, a tymczasem jakie to dziwne, ja chcę, pragnę żeby wszyscy wiedzieli że do ciebie należę.

— Nie należysz jeszcze do mnie, ale będziesz, będziesz na pewno.

— Nie dbam o pozory i ludzi...

Jak dzieci biegli nad brzeg morza i wracali do małego pensjonatu gdzie mieszkali. Jeśli myślała kiedy o swych przejściach, to tak jak o sprawach odległych i obcych. Stanisław zaś stracił przy niej ów niepokój wewnętrzny, stracił nieśmiałość chłopięcą, bo czuł się jej opiekunem. Nie wątpił że się pobiorą, nie myślał o niczym jak tylko o powrocie do Warszawy, o definitywnym przeprowadzeniu jej sprawy rozwodowej.

Opowiedziała mu wszystko. Wyznała mu całe swe życie i pomyłkę małżeństwa, której on nie odgadł, nie byłby odgadł nigdy. Nie mówił z nią o tym więcej, bo okazywał jej delikatność i serdeczność jakiej nie zaznała od tak dawna. Od owych pieczętów matki, które pamiętała że uspakajały ją w burzliwych dniach rewolucji.

Bał się ją stracić. Czuł że kocha ją bezwzględnie, wszystko jedno czy za zgodą świata czy bez. Nie namiętność ale życie całe przeżywał z nią, zmienił się i dojrzał, wiedział że ma cel przed sobą, że właśnie tego brakowało mu aby był pełnym człowiekiem. Nie wiedział że tak jak miłość, poznać trzeba i ból aby osiągnąć pełnię życia.

Dni płynęły za dniami w tym szczęściu niezmaconym i romantycznym, gdy Janka otrzymała list z Polski. Stasia nie było, bo wyjechał do Palermo pokazać się tam jak zazwyczaj dwa razy w tygodniu i utrzymać pozory że pracuje.

List był od doktora Kozłowskiego do którego Janka pisała niedawno donosząc mu jedynie o swej ucieczce z Rzymu. Doktor odpisywał:

„Zrobiłaś dobrze tak jak zrobiłaś, ale nie przypuszczaj że tu nie wiedzą gdzie jesteś. Mąż twój co prawda nie wie, bo zaraz po przyjeździe z Rzymu przyjechał do mnie i pytał mnie czy ja mu żonę ukryłem. Zaręczyłem że nie, że nic nie wiem o tobie, co było prawdą, bom jeszcze wtedy twojego listu nie otrzymał. Upłynęło trzy tygodnie i oto zjawił się u mnie prałat Matusik, przyjaciel Władzia i twierdził że jesteś na Sycylii. Prosił mnie bym wpłynął na ciebie. Mówił o obowiązkach żony, o bólu i żalu pułkownika, który jest przywiązany do ciebie, a nie wie tego co on ksiądz wie...

„Znasz mnie że księży nie lubię, a szczególnie takich jak ten właśnie, który zasłaniając się przyjaźnią i innymi pięknymi ha-

słami, jakąś własną sprawę knuje przy tym wszystkim. Pytałem co wie takiego o tobie, czy może nareszcie znalazłaś kogoś, ale on zgorzony oczy wznosił w górę i westchnąwszy nie dał mi odpowiedzi. Prosił tylko bym naprawił wszystko, bo twój mąż jest nieszcześliwy, a on, prałat Matusik jako jego przyjaciel pragnie mu pomóc. Prosił mnie o dyskrecję, którą mu oczywiście obiecałem, ale której w stosunku do ciebie kochane dziecko moje, nie myślę zachowywać. Przeciwnie, piszę do ciebie i podtrzymuję to co piszę: wytrwaj na drodze jaką obrałaś, broń swojej niezależności i licz na moją pomoc. Nie oglądaj się na świat. Jeśli masz kogoś, kogo kochasz pójdź z nim, jeśli jesteś sama pamiętaj że jestem przy tobie, że służę ci wszelką pomocą moralną i materialną.”

Czytała ten list i nie rozumiała go dobrze. Jak człowiek zbudzony ze snu, nie rozeznawała słów i faktów, choć doszły do jej świadomości. Musiała sobie przypomnieć wypadki ostatnich tygodni a potem poszła powoli do swego pokoju i płakała i męczyła się.

Więc odkryli jej schronienie, odkryli jej ucieczkę, on wróg jej najgorszy który męża jej opętał, który ją ściga z jakąś zawziętością bez granic! Jak, jakim sposobem doszedł że jest na Sycylii? Przecież gdy wyjeżdżała z Rzymu, w ową noc deszczową sama nie wiedziała gdzie pojedzie? To bagażowy kupił jej bilet. Jakim sposobem mógł ten ksiądz wysledzić miejsce jej pobytu i dlaczego wysledziwszy nie powiedział o tym Władziowi? Jakie prawa ma w stosunku do niej?

Kłębiły się w niej myśli. Poczucie że jest śledzona, że ktoś zupełnie obcy wszystko wie o niej wzmogło jej zdenerwowanie. List Kozłowskiemu zawierał tyle niedomówień, zostawiał tyle do myślenia! Wynikało z niego że ksiądz Matusik wie, że kocha Stanisława. Dlaczego świat jest taki podły? Nikt jej nie rozumie, nie chce rozumieć, że w intencjach swoich kierowała się swoim ludzkim prawem, że nie jest i nie będzie nigdy własnością Władzia. Że z jej strony nie zmysły, nie chęć przygód, ale prosta uczciwość dyktowała jej takie postępowanie, bo mąż jej był człowiekiem którego nie znosiła.

Uderzenie było gwałtowne i nagłe. Nie była na nie przygotowana. Czasem gdy myślała o sobie i Stanisławie widziała co prawda trudności swego położenia, ale nie przypuszczała że będzie o nich wiedział ktokolwiek inny poza nią. A zwłaszcza ktoś zupełnie obcy, zimny i obojętny dla niej, a silniejszy od niej. Nie wstydziła się swej miłości. Rozgrzeszyła się sama przed sobą, jak uważała że miała prawo to uczynić, ona tak samotna na świecie, tak opuszczona, tak niezrozumiana.

Wewnątrz niej odgrywała się walka stokroć cięższa od tej którą przyszło jej toczyć z mężem. Walka by opanować się na tyle, by po niej nie poznał nikt, nawet Stanisław, jak zraniona została brutalnie w chwili gdy czuła się bezpieczna. Ta walka uczyniła ją w ciągu krótkich godzin zwojem nerwów, wyrażających się fizycznym bólem w piersiach, w ramionach, w sercu. Jakimś gnicieniem, naprężeniem, drżeniem tak że dopiero obfite lzy i głośnie łkanie uspokoiły ją nieco. Szczęściem nie było nikogo przy niej. Nikt jej nie widział.

Wyszła z domu, chciała telegrafować do Sandomierza, do adwokata w Warszawie, ale zaniechała tych zamiarów, bo po prostu nie wiedziała co robić. Opanował ją strach że jest śledzona, że może jak w romansach mąż nastąpi na nią detektywów, snujących się za nią wszędzie.

Czuła się bezsilna i bezradna. Nagle cały czar pobytu na Sycylii przysł, a pojawił się wstręt i niesmak. Nienawiść do wrogów którzy ją ścigają, niesmak do sytuacji w jaką ją wpędzili.

Czytając jeszcze raz list zastanowiła się nad jego ostatnim zdaniem. I nagle uświadomiła sobie że od trzech tygodni nie płaciła za siebie rachunków, że pieniądze jej kończą się i że Staś musiał płacić za nią. Owa pomoc materialna o której pisał doktor tak delikatnie musi się odnosić do tej dwuznacznej sytuacji w jakiej się znalazła, zagubiona w miłości, przeklęta przez ludzi...

Zadęconą, zmęczoną i niewiedzącą co robić znalazł ją Wojniłłowicz. Podała mu list i gdy czytał prosiła go o obronę.

Naradzali się co zrobić, jak odpisać, jaką odpowiedź rzucić tej nieznannej i tajemniczej sile, która ścigała ich aż tutaj. Jego wrogowi i jej, człowiekowi który powinien był mieć zrozumienie i życzliwość dla drugich a miał nienawiść i zło. Bo obydwójce doznali od niego tylko tego.

Męczyli się tak wzajemnie przez parę dni aż nerwy ich, a zwłaszcza nerwy jego doszły do stanu ostatecznego napięcia. Gdy Janka spostrzegła, że gryzie się nadmiernie, że stracił wszelką wesołość i żywość, zrozumiała że ta sielanka skończyła się zgrzytem, którego nic nie jest w stanie naprawić. Z kolei ona była znacznie spokojniejsza i stanowcza. Powzięła decyzję. Postanowiła wracać do Polski i stanąć do walki o swoją wolność.

Żegnali się pewni swej miłości bardziej niż kiedykolwiek. Gdy się pakowała wrzucił jej do kufra kwiaty, aby w Warszawie przypominały jej o nim. Długo i sentymentalnie patrzył na statek który zabierał mu ją na krótki czas, jak przypuszczał.

A potem zostawszy sam natychmiast napisał list do niej, co dzień postanowił pisać do niej, na „poste restante” jak się umówili zwyczajem wszystkich kochanków. Równocześnie czuł rosnącą w sobie nienawiść głuchą do księdzą Matusika, którą rozciągając zaczął powoli do wszystkich księży, do Kościoła w ogóle. Daremnie tłumaczył sobie że ludzie a instytucje to dwie rzeczy różne. Logika w myśleniu narzucała mu nieodparcie przekonanie, że ludzie kierują instytucją i że na odwrót instytucje urabiają ludzi.

*Koniec części pierwszej*

FELIKS BOCHEŃSKI

W A R S Z A W A

Byli i są tacy, którzy sądzą, że należało stolicę Polski tymczasowo przenieść do Łodzi czy do Krakowa, a do Warszawy, jako siedziby rządu, powrócić dopiero po jej częściowym choćby odbudowaniu.

Nie brak argumentów, przemawiających za takim rozwiązaniem. Na to, aby ktoś pracował wydajnie, nie wystarczy, aby był „przejęty duchem ofiarnej służby”; musi także jeść i mieszkać, mieć opał, oświetlenie i komunikację, używać telefonu. Wszystkich tych warunków Warszawa jeszcze kilka miesięcy temu nie posiadała wcale, dziś posiada je tylko częściowo. Znaczną część energii ludzi pracujących w stolicy pochłania

zdobywanie kąta do spania, mebli i sprzętów domowych, dostanie się do miejsca pracy czy skomunikowanie z urzędem, mającym siedzibę w innej części miasta. W ten sposób do znacznych już z natury rzeczy trudności rządzenia krajem, całkowicie zniszczonym i pozbawionym administracji, dochodzi dodatkowe obciążenie w postaci prymitywnych, pionierskich warunków, w jakich żyją i pracują władze naczelne.

Chcąc tego uniknąć, można było do Warszawy, opustoszałej po wyjściu Niemców, wpuścić wyłącznie tylko pracowników budowlanych. Drużyny architektów, budowniczych, techników i robotników mogłyby wtedy, pod jednolitym kierownictwem BOS'u (Biura Odbudowy Stolicy) z całym spokojem i bez oglądania się na potrzeby ruchu i bezpieczeństwo przechodniów czy mieszkańców, burzyć ruiny, uprzętać teren, naprawiać mniej zniszczone domy, zaczynać wznosić nowe. Po kilkunastu czy kilkudziesięciu miesiącach, na zakończenie tego, pierwszego bodaj w tej skali, eksperymentu planowania, nastąpiłaby wielka przeprowadzka do stolicy. Urzędy i instytucje centralne sprowadziłyby się do z góry przygotowanych i umeblowanych siedzib. Równocześnie zaczęłaby napływać ludność w liczbach proporcjonalnych do ilości domów. „Przydział” na mieszkanie byłby czymś więcej wtedy, niż tylko ostemplowaną kartką papieru. Oszczędziłoby się kosztów, pracy, niepotrzebnego wysiłku, zdzierania nerwów.

Wszystko to są niewątpliwie racje rozumne i przekonujące, nieodparte z punktu widzenia zimnego rozsądku. Odpowiedź na nie jest jednak prosta:—gdyby Polacy w swoich decyzjach kierowali się zimnym rozsądkiem, to nie byłoby zapewne ani bohaterskiej i całkowicie beznadziejnej obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku, ani tego oporu jaki stolica stawiała przez cały czas okupantom, ani wreszcie powstania w roku 1944. W rezultacie, prawdopodobnie, stolica byłaby niezburzona i całe zagadnienie w ogóle by nie powstało!

Jest jeszcze drugi argument. Hekatomba Warszawy uczyniła to miasto jeszcze bliższym sercom Polaków; sprawiła, że dla obcych i dla swoich stało się ono symbolem Polski.

Krytykowana często przed wojną za zachłanność w postaci nadmiernych zakusów centralistycznych, Warszawa dowiodła, że — jak przystoi temu co rządzi — gotowa jest nie tylko brać, ale i dawać ze siebie najwięcej. Zdegradowana przez okupanta do rzędu ośrodka prowincjonalnego, pozostała jednak centrum administracji podziemnej. Stolicą duchową nie przestała być ani na chwilę. To dziwne miasto, właściwie raczej brzydkie na co dzień na tle beznadziejnych piachów mazowieckich, mało gdzie okraszonych coraz to rzadszymi kępami lasków sosnowych, posiada jednak jakieś piękno wewnętrzne, manifestujące się odświętnie choć często tragicznie. Warszawa lekkomyślna i niepoważna, ale pełna dowcipu i zdolności, ściągająca, ale i wydobywająca talenty, miasto plotkarskie i nerwowe, a przy tym skupione i nadnaturalnie spokojne w dniach śmiertelnej grozy, Warszawa kanciarska i heroiczna w swym nieodpartym, czasem aż do okropności polskim uroku, przywiązuje do siebie wyjątkowo silnie.

Wyrazem tego te tłumy mieszkańców Warszawy, które na pierwszą wieść o oswobodzeniu ich miasta, ze wszystkich stron, wbrew oczywistemu rozsądkowi, w najtrudniejszych warunkach, z tobołami i często w łachmanach, na piechotę powracały do miasta, gdzie, zdawałoby się, że nic poza grobami na nich nie

czekało. Czy można było te tłumy zawrócić z drogi, czy można było Warszawę choćby czasowo wykreslić z życia kraju? Chyba nie i dlatego sędzę, że trzeba rząd rozgrzeszyć z tej decyzji, uznając jej całkowicie irracjonalne pobudki.

Nie widziałem Warszawy bezpośrednio po wyjściu Niemców, ale z tego co mówią ci, którzy widzieli, postęp musi być ogromny. Środkowa część miasta była całkowicie niezamieszkałym pustkowiem, ulice zablokowane gruzem, często napotykało się na nieopgrzebane zwłoki. Dzisiaj są już i woda i światło, na ulicach wieczorami coraz jaśniej, jest już trochę telefonów i jest jaka taka komunikacja. Ruch osobowy odbywa się trolleybusami ("trajlusie" jak je ochrzcił konkurs prasowy), przystanymi z Rosji, piętrowymi autobusami z Anglii, i coraz to liczniejszymi, rodzimymi tramwajami. Oprócz nich kursują dorożki, „riksze” motocyklowe i rowerowe i w końcu, mniej lub więcej nieoficjalnie i doraźnie, ciężarówki i samochody osobowe, wożące publiczność za opłatą „od łebka” na Pragę i przedmieścia.

Poza mostem drewnianym, zbudowanym przez saperów polskich i radzieckich w pobliżu zwałonego doszczętnie mostu Kierbedzia, jest most dla pieszych na Saską Kępę i ostatnio otwarty most Poniatowskiego, gdzie w maju wstawiono brakujące przęsło. Gdyby cały ten ruch odbywał się na ulicach, przy których pozostawiono tylko domy odbudowane lub do odbudowy się nadające, Warszawa mogłaby robić wrażenie jakiegoś całkiem nowego miasta, rozplanowanego w dużym stylu, którego budowę właśnie rozpoczęto. Niestety jednak tak nie jest. Ruiny i rumowiska, ściany i fasady zburzonych domów, stoją mniej więcej tak, jak stały kilka miesięcy temu, gruz leży nie usunięty, a najwyżej odsunięty na boki ulic.

Gdzieś w maju tego roku rozpoczęła się z pewnym rozgłosem akcja akademików nad odbudową stolicy. Istotnie na odcinkach Alei Jerozolimskich grupy studentów i studentek, w nowych drelichach granatowych i białych, żywo krzątają się około usuwania gruzu. Jest to niewątpliwie piękny gest, wykazujący solidarny wysiłek wszystkich warstw nad odbudową miasta. Ale przecież jest to niewiele więcej, niż tylko gest. Bo wiadomo, że nie brak rąk roboczych, lecz brak sprzętu hamuje całą akcję.

Prasa brytyjska przyniosła ostatnio zdjęcia z Caen, małego miasteczka w Normandii, wślawionego bojami w czasie ofensywy desantowej Sprzymierzonych i, odpowiednio do swej sławy, zniszczonego. Na zdjęciach tych oglądaliśmy gruzy usunięte na bok i ułożone w porządne stosy, ulice szeroko otwarte dla przejazdu, a na tyłach ulic nowe baraki jako tymczasowe pomieszczenia dla ludności. Od osób, przybywających z Niemiec, słyszymy, że podobny obraz przedstawiają już dziś prawie wszystkie zbombardowane miasta i miasteczka niemieckie. Pracy tej dokonały przede wszystkim te wszelkie ekskawatory, olbrzymie ciężarówki, „bulldozery” i „angle dozery”, które udoskonalone w czasie wojny i wyprodukowane w dużych ilościach dla wojska, dziś w znacznej części stoją bezczynnie.

Niestety sprzętu takiego w Polsce dotychczas nie ma. Zwalanie bardziej niebezpiecznych murów, zwisających z na wpół urwanych balkonów czy dachów odbywa się za pomocą lin, ciągnionych ludzkimi rękami. Gruz wywożą małe furki, zaprężone w mizerne, wygłodniałe szkapy. Warszawianie zaś z wisielczym humorem obliczają i robią zakłady ile dziesiątków lat potrwa uprzątnięcie stolicy tymi sposobami.

Stoją te mury na wpół zburzonych domów i kościołów, straszą ramami pustych na przestrzał okien, a na dobytek obsypują miasto tumanami kurzu i miału. Stanowi to oczywiście ciągle niebezpieczeństwo dla zdrowia, a czasem i życia mieszkańców. Jakkolwiek, na szczęście, dotychczas nie wybuchnęły żadne epidemie, mnożą się schorzenia oczu od nieznośnego kurzu, a w czasie każdej większej wichury czy burzy zdarzają się śmiertelne wypadki przywalenia czy zasypania przechodniów.

Na tle tej makabrycznej scenerii, życie wre i kipi. Ulicami przewalają się coraz to liczniejsze tłumy publiczności. Bóg jeden wie gdzie oni wszyscy mieszkają. W chwili spisu ludności w lutym Warszawa miała już przeszło 400 tysięcy mieszkańców — prawie tyle co Łódź — a w tej chwili bodaj, że jest już znowu największym miastem Polski. W odnowionych, parterowych sklepieniach nieistniejących już domów powstają codziennie nowe sklepy i restauracje, co tydzień przybywa miastu okien, światła i mieszkańców. Na miejscu, gdzie kiedyś krzyżowały się Aleje Jerozolimskie z Marszałkowską czy Nowym Światem ryczą głośniki radiowe, wieczorem w każdej, nawet najmniejszej, restauracji gra kapela — przeważnie sentymentalne przedwojenne tanga — na ulicach wykrzykują tłumy przechodniów sprzedających mniej więcej wszystko od rozmaitych gratów „na wysprzedaży”, poprzez importowane papierosy i soki owocowe, obok rodzimych rzodkiewek (pęczek za piątkę, za piątkę!) aż do „Gazety Ludowej”, stanowiącej — jak zapewniają ustawicznie sprzedawcy — „organ Pana Wicepremiera Mikołajczyka”.

Z tą „Gazetą Ludową” zresztą jest osobliwa historia. Teoretycznie cena jej, podobnie, jak prawie wszystkich dzienników, wynosi 2 złote. Faktycznie jednak nie sposób otrzymać jej poniżej 10 złotych. Nie sprzedają jej kioski „Czytelnika” tylko kilka kiosków prywatnych, których właścicielom wydawcy podobno surowo nakazali trzymać się ceny oficjalnej. Wobec ograniczonego nakładu, a znacznej popytności pisma, zarządzenie to nie jest jednak w stanie odwrócić prawa popytu i podaży, działającego z żelazną konsekwencją. Wszystkie egzemplarze w kioskach wykupują momentalnie po cenie „sztywnej” pośrednicy — czytają:— uliczni sprzedawcy — i „towar” idzie na „wolny rynek”, gdzie, jak wiadomo, ceny są znacznie wyższe.

Poruszyłem tutaj żartobliwie temat, do którego trzeba będzie jeszcze powrócić poważniej i obszerniej — sprawę dwoistości cen i płac w Polsce, sztywnych i wolno rynkowych, istniejących obok siebie w skali i rozpiętości mała gdzie, poza Polską, spotykanych. Narazie powiem tylko, że jednym z powodów chwiejnej jeszcze równowagi cen wolno rynkowych, są nie tyle wahania obiegu pieniężnego, zwiększanego na ogół z dużym umiarem, ile brak towarów, zjawisko, które tak łatwo zauważyć we wszystkich sklepach warszawskich, które przeważnie mają tyle towarów, ile widać na wystawie. Te co są, kosztują — po przeliczeniu na waluty obce po kursie czarno-giełdowym — mniej więcej tyle, ile za granicą. Wobec niskich zarobków jednak mało kogo stać na kupowanie towarów na wolnym rynku.

To samo dotyczy w dużym stopniu żywności. Restauracji jest sporo i potrawy w nich są chyba równie znakomite, jak przed wojną. Zniknęły tylko po największej części gatunkowe wódki, a miejsce ich zajęła monopolicznie monopolowa „czysta”. Obiad czy kolacja kosztują od 300 do 600 złotych, co znaczy, że normalnie zarobkujący obywatel nie może sobie pozwolić na stołowanie się po restauracjach.

Zarówno ceny, jak i obfitość żywności w restauracjach i sklepach spożywczych w kraju, któremu wciąż jeszcze zagraża klęska głodu, stanowią zjawisko nienormalne i niewątpliwie niezdrowe. Dla jego wytlómaczenia trzeba by znowu sięgnąć głębiej, do podstaw systemu rozdziału i częściowego racjonowania żywności w Polsce. Trzeba by przypomnieć, że nie ma jeszcze dostatecznego aparatu administracyjnego dla zorganizowania powszechnego racjonowania żywności i, że nie było dotychczas jeszcze takiego momentu, w którym władze rozporządzałyby dostatecznymi запасami zboża, tłuszczów czy mięsa, aby móc pokusić się o równomierne zaprowiantowanie 24 milionów ludności bez tej klapy bezpieczeństwa, jaką — niestety tylko dla niektórych — stanowi wolny rynek.

Ale chociaż dla wtajemniczonych w głębsze podłoże sytuacji gospodarczej kraju wszystkie te względy są zrozumiałe, pozorna obfitość żywności po cenach dla uprzywilejowanych, robi wrażenie fatalne. Odczuwać to musi zarówno robotnik czy urzędnik, dożywiający się skromnie po stołówkach, jak i cudzoziemiec, który przyjechawszy do Polski w takiej czy innej misji, zwykle związanej z pomocą dla biedującego i głodującego kraju, raportuje często za granicę o tym tylko co widzi z perspektywy suto zastawionych stołów „Polonii”, „Bukieta” czy „Gajewskiego”. Wprowadzenie dni bezmięsnych i bezciastkowych było więc zapewne tylko pierwszym krokiem na drodze, na którą trzeba będzie wkroczyć bardziej stanowczo.

Życie kulturalne stolicy jest oczywiście mocno hamowane brakiem pomieszczenia i nawałem trosk codziennych. W tych trudnych warunkach dzieje się jednak więcej, niż można by oczekiwać.

Są regularne wystawy artystów krajowych i zagranicznych, jest opera i balet. Słyszałem znakomity koncert szopenowski Sztompki, w nabitej po brzegi sali kinoteatru „Roma” — tej samej, w której zbiera się Krajowa Rada Narodowa (tak zwany popularnie KRAN). W Teatrze Polskim, jedynym teatrze stolicy w naprawdę dobrym stanie, przez długi czas szedł „Majątek czy Imię”, stara rymowana sztuka Korzeniowskiego, naiwna i miła, pięknie wystawiona z widokami Łazienek i starej Warszawy. Pietyzm dla miasta, które „było”, przyczynił się zapewne do wyboru sztuki w równym stopniu co treść uaktualniona wycieczkami pod adresem snobizmu arystokracji i przerostów cudzoziemszczyzny. Rzecz cała kulminuje w pięknej tyradzie o obowiązku Polaków siedzenia w kraju. Złośliwi mówią — nie wiem czy słusznie — że aktualność Korzeniowskiego w ostatnich wierszach sztuki, została wsparta piórem Jarosława Iwaskiewicza.

## JAK LUDZIE ŻYJĄ

Jak ludzie żyją w Polsce? To pytanie, niebezpieczne przez swą ogólnikowość, a jednak dotyczące spraw najbardziej istotnych, spotyka się w rozmowach potocznych chyba najczęściej. Spróbujmy odpowiedzieć realistycznie. Jak, a więc przede wszystkim gdzie, i za co.

Masowe przesunięcia ludności w czasie tej wojny dotknęły Polskę szczególnie silnie. Wędrowni Polaków po wszystkich krajach Europy, a także po Syberii, Kazakstanie, Bliskim Wschodzie i Afryce doczekają się może kiedyś uwiecznienia; nowe

Księgi Pielgrzymstwa Narodu Polskiego czekają jeszcze na swego autora. Narazie mamy te dzieje w świeżej pamięci z własnych, jak najbardziej osobistych przeżyć. Ale zapomina się czasem o tym, że także i w samym kraju odbywał się i wciąż jeszcze trwa ruch ludności na olbrzymią skalę, różnymi podyktowany pobudkami i w różnych idący kierunkach.

Przypomnijmy tylko pokrótce jak to było. Najpierw, we wrześniu 1939 bardzo wiele osób z Polski Zachodniej i Centralnej, bądź to z nakazu władz, bądź też z własnej inicjatywy, uciekało na Wschód. Część tej fali uchodźców rozprysła się na Kresach i znalazła się ostatecznie na Węgrzech, Rumunii, na Litwie czy też w głębi Rosji. Znaczna część została w Polsce, starając się przeważnie wrócić do własnych domów. Dla tych którzy pochodzili z ziem Zachodnich droga do powrotu była często zamknięta.

Przeciwnie nawet, liczba uchodźców z Zachodu Polski wzrosła na skutek wysiedleń z t.zw. Ziemi włączonych, obejmujących do 2 milionów osób. Z Zachodu i Wschodu więc napływali Polacy do t.zw. Generalnego Gubernatorstwa, gdzie powstało niezwykle, i wcale z zasobami tego resztówkowego obszaru niewspółmierne, zagęszczenie ludności. Ale i na tej resztówce, w tym co w zamierzeniu Niemców miało być matczynikiem Polaków, nie obyło się bez wielkich i częstych przeprowadzek.

Niektóre miasteczka Niemcy wydzielali jako miasta żydowskie. W większych miastach powstawały ghettta. W obu wypadkach zmieniali siedzibę i Żydzi i Polacy. Po likwidacji ghatt przetrzucano do nich Polaków z lepszych dzielnic dla zrobienia miejsca Niemcom. Wszystkie te przeprowadzki odbywały się z kilkunastominutowym lub kilkuminutowym ostrzeżeniem, a więc najczęściej bez możliwości zabrania sprzętów, urządzenia czy mebli. Po kapitulacji Warszawy wyprowadzono z miasta całą ludność. Ze strefy t.zw. przyczółków, ciągnącej się od Prus Wschodnich wzdłuż Wisły na południe aż po Karpaty, gdzie linia frontu w roku 1944 zatrzymała się przez czas dłuższy, cała pozostała przy życiu ludność uciekła i dotychczas nie powróciła na te obszary, które są dziś dosłownie pustynią. W odróżnieniu od poprzednich grup, mieszkańcy przyczółków to w głównej mierze ludność wiejska. Już także przedtem Niemcy wysiedlali rolników z Zamojszczyzny i Hrubieszowszczyzny. Po odejściu Niemców, ruch wśród rolników nie ustał. Jedni wracają ze Wschodu, inni osiedlają się na Zachodzie, jeszcze inni przesiedlają się w związku z reformą rolną do nowych domów, o ile domy takie znajdują.

Staram się przypomnieć te wydarzenia w migawkowym skrócie na to, abyśmy sobie uświadomili, jak ogromny odsetek ludności wszelkich warstw ludności — wedle przyjętych szacunków co najmniej jedna czwarta — zmienił siedzibę, miejsce zamieszkania i pracy. Mamy więc już odpowiedź na pierwsze pytanie, jak ludzie w Polsce mieszkają:—po większej części nie tam, gdzie przed wojną, w innych miastach, wsiach i mieszkaniach, a często także wśród innych mebli.

Na skutek rekwizycji i kradzieży, przymusowych wysiedlań i wysprzedaży, własność, zwłaszcza ruchoma, przechodziła w ostatnich latach z rąk do rąk tak często, że znalezienie dziś prawowitego właściciela czy też wykazanie jego uprawnień nie jest łatwe. W wielu wypadkach dawni właściciele nie żyją, pozostają za granicą, lub też już dawno zrezygnowali z odzyskania swego mienia. W innych wypadkach odbywają się swoiste poszukiwania czy dochodzenia, kończące się czasem dobrowolną ugodą, a cza-



sem sporem sądowym. Można nieraz spotkać takiego czy innego urzędnika lub funkcjonariusza administracyjnego czy przemysłowego, zwłaszcza na terenie Ziemi Odzyskanych, który sam straciwszy cały dobytek i wprowadzony tymczasowo do przydzielonego mu mieszkania, obecnie żyje z dnia na dzień w niepewności czy nie spadnie mu na kark poprzedni właściciel, domagający się zwrotu jakiegoś mebla, mieszkania czy nawet całego domu.

Na tle tego wielkiego pomieszenia mienia, niesprawiedliwości w tym czy innym kierunku są oczywiście na porządku dziennym. Mimo, iż całość, liczona kryteriami majątku narodowego poniosła straty, a wielu całkiem niewinnie zubożało, muszą być i tacy co zyskali.

Z tego ogólnego zamieszania, z bałaganu i prowizorium, z osłabionych kryteriów moralnych i podważonych praw wyrosło słowo „szaber”, pojęcie, które wzbogaciło słownictwo polskie, a także i niektórych mieszkańców kraju.

Oddaje ono coś co nie jest wyraźnie kradzieżą czy sprzeniewierzeniem — a przynajmniej nie uchodzi za takie według pojęć wojennych — choć dalekie jest od pretendowania do uczciwości. Typowy chwast powojenny, wyrosły na glebie spulchnianej systematycznie korupcją okupanta i od sześciu lat nieprzeoranej plugiem prawa.

Socjologowi, który będzie kiedyś badał ten okres historii naszej obyczajowości, nie w tym celu, aby potępiać albo bronić, ale na to, aby zrozumieć, cała sprawa prawdopodobnie wyda się dosyć jasna. Przez 5 lat społeczeństwo, poza prześladowaniami, poddane było eksperymentowi powszechnego obniżenia czy zmiany pojęć moralnych. Równocześnie ludzie tracili majątki lub przynajmniej dobytek, zebrany żmudną pracą całego pokolenia. W chwili odwrotu Niemców opróżniły się najporządniejsze domy. Niektóre z nich pozostały w takim stanie, w jakim używali ich dotychczasowi mieszkańcy do chwili ucieczki, mniej lub więcej panicznej. Władzy, która mogłaby to wszystko zagospodarować, w pierwszej chwili nie było. Pokusa zajmowania „na gorąco” opuszczonych siedzib była ogromna dla ludzi często bez dachu nad głową, uchodźców, pogorzalców czy też byłych mieszkańców byłej Warszawy. Od zajęcia cudzego mieszkania do „uzupełnienia” braków z podobnego źródła, krok stosunkowo niewielki. Szaber zrodził się więc z biedy i improwizacji, z nieszczęścia ludzkiego, głodu, zimna a także ze zwycięskiego instynktu samozachowawczego. Rzecz inna, że nabrał on z czasem rozmiarów dość nieprzyzwoitych i charakteru oderwanego od tych wszystkich okoliczności łagodzących, jakie towarzyszyły jego narodzinom. Wydaje się, że w pewnym okresie szaber stał się prawie epidemią, obejmującą w różnych postaciach różne warstwy ludności. Był więc szaber wielki i szaber mały, aż do małego szaberka, o którym mówiło się prawie z uśmiechem rozczulenia. Znane są wypadki zawłaszczenia na tej drodze wartościowych urządzeń, prowadzące czasem do fortuny, a często do więzienia, ale obok tego, na tle ogólnej psychozy odbicia sobie chociaż w małej części poniesionych strat, czy też zdobycia za wszelką cenę, tego co najpotrzebniejsze, były niezliczone wypadki małych, nieraz śmiesznych rezultatami zakończonych wypraw szabrowniczych. Zdobyte w ten sposób stare ubranie, kilka sztuk serwisu, makatka czy nawet kałamarz lub figurka na biurko, dawały jednak nowym posiadaczom coś w rodzaju satysfakcji, że w tym ogólnym wyścigu odrestaurowania się nie

wyszli oni całkowicie z pustymi rękami. Jednej z moich znajomych, która zdobyła we wczesnym okresie ponownego zaludnienia Warszawy przejazd samochodem do Szczecina, grono przyjaciół i znajomych powierzyło misję uzupełnienia beznadziejnego stanu ich garderoby. Dotarłszy po dłuższych perypetiach do celu, nasza amatorka znalazła w jednym z porzuconych mieszkań, jako jedyny przedmiot godny uwagi... piłkę gumową dla dziecka. Po chwili jednak i to trofeum odebrał jej już przedtem przybyły, szabrownik zawodowy.

Poważniejsze operacje tego typu odbywały się oczywiście na Ziemiach Odzyskanych i dlatego od jakiegoś czasu już władze zabroniły wywozu jakichkolwiek przedmiotów z Zachodu bez specjalnego zezwolenia. Może się więc komuś dziś zdarzyć, że przekraczając dawną granicę polsko-niemiecką w Zbąszyniu, pod Bytomiem lub gdzie indziej, będzie musiał udowodnić, że zapasowa koszula czy buty lub też maszyna do pisania jaką wiezie ze sobą stanowią jego własność, nabytą w sposób nienaganny i niewadliwy.

Powróćmy jednak od tych niezbyt budujących rozważań o genezie i istocie szabra, instytucji, która należy już do przeszłości, do naszego aktualnego tematu, z czego ludzie żyją.

Koszty utrzymania przeciętnej rodziny pracowniczej w Warszawie, jeżeli tylko uwzględnić ceny na wolnym rynku, a więc bez brania pod uwagę przydziałów kartkowych, wzrosły w porównaniu z rokiem 1938 sto razy. Są oczywiście wahania, przede wszystkim sezonowe; w miesiącach letnich, gdy ceny żywności są niższe, koszty utrzymania spadają, na przednówku idą w górę. W kwietniu 1945 roku wszystkie pozycje kosztów utrzymania — za wyjątkiem wydatków na odzież i obuwie, były wyższe niż w kwietniu 1946. W sumie jednak mnożnik 100 w stosunku do okresu przed wojną daje dobrą orientację dla cen towarów i usług wolno-rynkowych. Aby to stwierdzić, nie potrzeba nawet sięgać do skomplikowanych statystyk. Wystarczy zapytać pierwszego z brzegu dorożkarza o cenę przejazdu. Zależnie od odległości odpowie on „złotówka” lub „dwie złotówki”, mając oczywiście na myśli sto czy dwieście złotych.

Trudno stwierdzić, czy proporcjonalnie podniosły się zarobki osób skazanych wyłącznie na zakupy na wolnym rynku. W jednym wypadku tak jest:—murarz w Warszawie zarabia 500 złotych dziennie. W wielu innych wypadkach zarobki są stosunkowo niższe.

Bez porównania niższe są oczywiście płace urzędników. Tutaj mnożnik 10 jest bliższy rzeczywistości. Urzędnik ósmej kategorii na przykład otrzymuje w gotówce od 1 maja b.z. 1630 zł. Rzecz jasna, że gdyby chciał kupować żywność na wolnym rynku, musiałby zginąć z głodu. Pewnym wyrównaniem jest dla niego — poza stołówką — deputat czy też t.zw. suchy prowiant. Ileż to wynosi? Wpadły mi w rękę dane za luty 1946. W tym miesiącu urzędnik otrzymał 4 kg mąki pszennej, 3 kg cukru, 1 1/2 kg masła, po 1 kg konserw mięsnych, dżemu pomarańczowego, kaszy i grochu, mniejsze ilości herbaty i mydła. Dodając wartość tego deputatu do gaży gotówkowej otrzymujemy już uposażenie wartości około 3 i 1/2 tysiąca złotych. Oczywiście, że i to jest mało, nawet bardzo mało.

Wydaje się, że do najlepiej płatnych stanowisk, podobnie jak przed wojną — choć w bez porównania mniejszej skali — należą kluczowe posady w przemyśle, gdzie do zasadniczo nieco wyższej płacy dochodzą premie za uzyskanie nadwyżki produkcyjnej i

różne dalsze dodatki, diety i t.p. Dodatki te przybierają różne formy nie zawsze planem przewidziane. Niektóre fabryki np. korzystając z niekompletnej jeszcze kontroli lub pobłażliwości władz nadzorczych, przeznaczają część produkcji na dodatki w naturze dla pracowników. Rzecz jasna, że jest to możliwe tylko w niektórych działach. Trudno sobie wyobrazić urzędnika centrali hutniczej, który zabierałby na pierwszego do domu kawałek szyny stalowej, w przemyśle przetwórczym jest to jednak o wiele łatwiejsze. Znam lekarza, opierającego swoją praktykę głównie na poradnictwie w kilku garbarniach, który otrzymuje wynagrodzenie przede wszystkim w postaci skóry, a więc towaru szczególnie dziś cennego. Wszystkie tego rodzaju praktyki uprawiane z pewną solidarnością przez kierownictwo i załogi, są oczywiście jedną z wielu form, jakimi życie gospodarcze stara się korygować obecny, na krótki czas tylko możliwy do utrzymania, sztucznie niski poziom płac.

Siłą rzeczy najgorzej miewają się ci, którzy żyjąc z płacy nie mają równocześnie żadnych poważniejszych dodatków w pieniądzach czy w naturze. Słyszałem poważne skargi ze strony profesorów uniwersytetów — grupy obecnie dosyć licznej, wobec powstania tylu nowych uczelni. Jako szczególnie ciężkie określa się położenie mniejszych urzędników państwowych na prowincji, zwłaszcza poza Łodzią czy Śląskiem, które to obszary z uwagi na ich szczególne znaczenie gospodarcze w obecnej chwili korzystają z pewnego uprzywilejowania. Jeszcze gorsza jest sytuacja emerytów, skazanych całkowicie na charytatywną pomoc rodzin lub społeczeństwa. Nie słyszałem aby jakakolwiek emerytura przekraczała kwotę tysiąca złotych miesięcznie. Jest to nie tylko „za mało, żeby żyć” ale także nie „za dużo, aby umrzeć”. Minimalne uposażenie państwowego Zakładu Emerytalnego w obecnym budżecie, w porównaniu do lat przedwojennych, jest oszczędnością tak ogromną czy raczej okrutną, że trudno usprawiedliwić ją nawet najcięższymi warunkami w jakich Skarb stara się związać koniec z końcem.

A jak przedstawiają się zarobki osób, nie pobierających w żadnej formie utrzymania od państwa?

Jeżeli chodzi o rolników, za mało wiem, żeby pokusić się o jako tako dokładną odpowiedź. Nie spotyka się zbyt wiele narzekań na wysokość kontyngentów, które są niższe niż za czasów okupacji. Z drugiej strony, ceny żywności na wolnym rynku są dostatecznie wysokie — przeciętnie około 80 razy wyższe niż przed wojną — aby zapewnić rolnikowi przyzwoity zarobek, jeżeli tylko zdoła on wyprodukować dostateczne nadwyżki. Prawdopodobnie, warunki są jeszcze zupełnie niejednolite i zależą przede wszystkim od stopnia zniszczenia poszczególnych gospodarstw i od tego jak poszły zasiewy i uprawy. Według szacunków z kwietnia, plony w tym roku zapowiadały się nieco poniżej przeciętnej. Trudno żeby było inaczej przy braku zwierząt pociągowych i nawozów. Spotykałem skargi ze strony rolników, którzy określali przyjętą normę jednego kilograma nawozów sztucznych za jeden kilogram zboża, jako niekorzystną.

Wyłączeni ziemianie mają na podstawie ustawy prawo do otrzymania nadziału ziemi, według norm reformy rolnej (maksimum 50 hektarów), względnie mają prawo otrzymywania dożywocia w sumie, odpowiadającej uposażeniu urzędnika szóstej kategorii płac. Nie słyszałem, by korzystali w większym zakresie z tego przywileju, który, przy obecnym poziomie wynagrodzeń — nie jest dostatecznym źródłem utrzymania.

Rentierów, ludzi żyjących z kapitału, właściwie nigdy w Polsce nie było wielu. Ci co pozostali, oczywiście nie mają dziś poważniejszych źródeł utrzymania. Nieruchomości w tej chwili nie przynoszą dochodów wobec niskości dopuszczalnych czynszów, a odszkodowań za wywłaszczone obiekty przemysłowe jeszcze nie wypłacono. W tych warunkach dawni właściciele muszą szukać innych zarobków i często znajdują je w branżach, które znają najlepiej. Nie słyszałem, aby czyniono specjalne utrudnienia fachowcom z tego tylko tytułu, że poprzednio byli właścicielami zakładów tego typu, jakimi obecnie kierują. Często ludzie ci znajdują jeszcze ujście dla swej inicjatywy w mniejszym przemyśle nieupaństwowionym.

Jeżeli chodzi o wolne zawody — brak lekarzy przed którymi, wobec ogólnego obniżenia się poziomu zdrowia, stoi ogrom pracy. Adwokaci starają się jakoś przystosować do nowych warunków, w których mniej jest sporów cywilnych, zwłaszcza poważniejszych. Wobec upaństwowienia całego większego przemysłu, role dawnych prawników spółek i właścicieli kapitalistycznych objęła odpowiednio rozrastająca się prokuratoria generalna. Wskutek skupienia własności w jednym ręku, z natury rzeczy ogromny odsetek sporów prawnych odpadnie lub zostanie załatwiony na drodze administracyjnej. Służby mimo to brak i była ostatnio mowa o powoływaniu do służby sędziowskiej przymusowo tych wszystkich, którzy odpowiadają warunkom, a nie mają w tej chwili innego zajęcia. Inżynierów i techników wszelkiego rodzaju brak ogromnie. Przez kilka miesięcy po odejściu Niemców wszystkie kopalnie Zagłębia Dąbrowskiego miały podobno łącznie sześciu czy siedmiu inżynierów. Dokszałca się też na gwałt młodzież i starszych w szkołach i na wieczornych kursach technicznych. Zapotrzebowanie na techników będzie wielkie jeszcze przez szereg lat.

Skoro — jak wiadomo — człowiek nie żyje samym tylko chlebem, ani mieszkaniem, ani warunkami pracy, spróbujmy uzupełnić ten obraz życia w Polsce uwagami o jego stronie rozrywkowej, chociaż nie bardzo wiele na ten temat jest do powiedzenia. Życie towarzyskie jest jeszcze w dużej mierze hamowane troskami codziennymi a także trudnościami wyżywienia. W Warszawie prawie nikt nie podejmuje gości prywatnie, bo przeważnie nie ma ani mieszkania odpowiedniego ani dostatecznej ilości żywności. Na prowincji jest może trochę lepiej, ale chyba nie wiele.

Dosyć dużo tańczy się po lokalach i na zabawach publicznych, nieraz całonocnych, i — oczywiście — połączonych z całonocnym wyszynkiem, co osobiście uderzać musi przybysza z Anglii, który przyzwyczał się saczyć swoje cienne piwo w ramach określonych godzin, na jakie opiewa ściśle przestrzegana licencja.

Teatrów jest już sporo i są na ogół bardzo dobre. W Łodzi widziałem pysznie wystawioną „Zemstę”. W niezbyt dużej sali Teatru Żołnierza Polskiego publiczność wypełniała całą przestrzeń bez reszty. Trudno było precyzyjnie się do swego miejsca wśród tych wszystkich strapontenów i zwyczajem rodzimym dostawianych krzeseł. Ponieważ była to rocznica wypędzenia Niemców, spektakl poprzedziło przemówienie okolicznościowe jakiegoś kapitana, który sumiennie wyrecytował wszystko co obywatel wiedzieć powinien: — a więc o ziemiach odzyskanych, o przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, i o potrzebie jedności narodowej. Współczułem trochę publiczności która robiła wrażenie, jak gdyby słyszała lub czytała te rzeczy już kiedyś

przedtem, a jeszcze bardziej żał mi było kapitana, którego starannie przygotowane wywody spotykały się z tak niewielką uwagą. Osobiście zresztą słuchałem z zajęciem, przygotowany potrochę na to, że usłyszę może jakieś materialistyczne wytłumaczenie sztuki hrabiego Fredry. Arcy-kapitalistyczne podłoże zabiegów małżeńskich Podstoliny aż się o to prosiło, choć z drugiej strony trudno byłoby niewątpliwym fakt agresji Cześnika Raptusiewicza na posiadłość Rejenta Milczka podciągnąć pod kategorię wczesnych aktów rewolucyjnych. Nie było jednak takiej próby zaaktualizowania starej fabuły.

Przy tej sposobności uwaga nawiasowa pod adresem pedagogów, o ileby te słowa miały dojść do rąk przedstawicieli tego zacnego stanu. Kilku profesorów gimnazjalnych historii zapewniało mnie, że nie ma żadnych prób przystosowywania nauki historii do nowej linii politycznej. Młodzież wkuwa Zakrzewskiego i Lewickiego, podobnie jak za dawnych lat. Więc nil desperandum profesorowie historii:—wiedza wasza nie przestała być aktualna.

W koncertach wydaje się przodować Kraków, gdzie obecnie ma siedzibę orkiestra Filharmonii. Podobno w czasie wojny wypłynęło kilku nowych obiecujących kompozytorów.

Programy kinowe są na ogół kiepskie. Kilka polskich filmów przedwojennych, kilka radzieckich, kilka angielskich czy amerykańskich. Z tych ostatnich, za czasów mego pobytu, wyświetlano dwa filmy wojenne „Srebrzysta Flota” i „Jeden z naszych samolotów nie powrócił”, oraz — nie wiem dlaczego — „Szarego Lorda”, który jest chyba najbardziej ponurym filmem angielskim, jaki kiedykolwiek nakręcono na tych pogodnych wyspach.

Czy ludzie wyjeżdżają na wakacje? Chyba tak i to stopniowo coraz więcej. Wielu przedstawicieli tej samej, niestety dość cienkiej, warstwy społecznej, która przed wojną wyjeżdżała do Zakopanego, nadal tam jeździ. Już w kwietniu widziałem w Warszawie prospekty nowych lotnisk górskich na Śląsku. Wydaje się, że zapoczątkowano już akcję upowszechnienia wyjazdów wakacyjnych, a w każdym razie przejęto już na ten cel części dotychczasowych hoteli i pensjonatów.

HANNA MORTKOWICZ OLCZAKOWA

## NA GRANICY SNU I NIESZCZĘŚCIA

To, że spotkało to nas dwukrotnie ma wszelkie znamiona złego snu albo złośliwej choroby, zahacza o ciemne dziedziny uroków i przekleństw, zarówno jak o tajemnice fizjologii i podświadomości.

Bywają męczące zmyry senne, z których budzimy się z rozkoszną świadomością nieprawdy przeżywanych cierpień, by zaraz potem przeżyć je na jawie. Są nowotwory, które atakują organizm z początku lekko, jak gdyby na próbę, ustępują na jakiś czas, zażegnane przez kurację, a potem wracają zażarcie w spotęgowanej, zabójczej już postaci. I zniszczenie Warszawy nawiedziło nas tak właśnie za dwoma nawrotami, jak przestroga i dokonanie wyroku, w sposób po prostu febryczny. Cały zaś okres okupacji między tymi dwoma atakami choroby był nieustannym dygotem na wulkanicznym podłożu, pozorną rekonwalescencją podminowaną przez śmierć.

Jako dziecko bałam się ogromnie takich przecuć sennych, urzeczywistnionych potem w życiu, a ich uosobieniem poetyckim był dla mnie sen Ojca Zadżumionych. Szczęście, z którym budził się, by uściskać żywą Hatfe — przeszywała krwawo świadomość, że sen był jednak wieszczą, że utraci ją i tak niebawem. Nie nawidziałam tego wiersza i tego snu.

A jednocześnie nękał mnie w tym pogodnym dzieciństwie warszawskim jeszcze i sen inny, już własny, powtarzający się regularnie w podobnych wersjach jak ponura przestroga. To był sen o innej, odmienionej po prostu nie do poznania, Warszawie. Błąkałam się po niej w półmroku i bezradnie, natrafiając na coraz inne, nieznanne dotąd i odstręczające domy.

Zaczynało się to zwykle w miejscu najdawniejszych moich wspomnień u zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Królewskiej, koło Ogrodu Saskiego, w jakiejś gmatwaninie mijających się tramwajów, idących bokiem alejek i ulic, wyslizganych, lodowych torów. Zagubiona tam, w miejscu niby to znajomym a jednak zupełnie obcym, nigdzie już nie umiałam trafić po dawnemu. Przez Ogród Saski szły na przelaj jakieś nieznanne aleje, w innym niż dotychczas kierunku: Koło Kościoła Ewangelickiego, który w tym śnie wcale nie istniał, stały na ukos kompleksy nowych, muzealnych gmachów. Dalej, w okolicy Tamki, Sewerynowa: Obożnej — Skarpa pozbawiona budynków spadała w dół w fantastycznych tarasach. Tramwaj zaś, idący przez nierzeczywiste, dziwaczne Aleje — trafiał w nieznaną okolicę niskich mogił, w miejsce, które było czymś pośrednim między zdziczałym parkiem a zapuszczonym cmentarzem.

Nie będąc przesądna nie przywiązywałam zbytnej wagi do tych męczących rojeń, które powtarzały się tak uporczywie. A jednak, już na kilka lat przed wojną poczęłam te moje sny podejrzewać o pewną wizyjność i wyraźne możliwości realizacji. Było to w okresie, gdy gwałtowna rozbudowa stolicy przeistaczała tak szybko, w naszych oczach, wygląd i charakter całych dzielnic miasta. Asfaltowe drogi przecinały wtedy naprawdę kwietniki naszego dzieciństwa w Saskim Ogrodzie i na Dynasach. Niknęły mleczne i stokrótki zastawiane kubikami nowych domów. Linie tramwajowe wydłużały się: biegnąc w nieznaną stronę nowopowstających dzielnic.

Tak, wtedy naprawdę myślałam, że niejasne sny dzieciństwa prorokowały tę właśnie, pomyślną odmianę. Ówczesna przebudowa odbywała się w sposób pozytywny i otwierała przed nami piękne nadzieje. Przywykliśmy w jej czasie apróbować daleko idące plany, a także patrzeć pobłażliwie na upadek jednych gmachów na rzecz budowy innych. Spośród gruzów staromiejskich kamieniczek wyłaniały się dawne mury obronne, od placu Krasieńskich i Piłsudskiego szły nowe ulice i perspektywy poprzez zwaliska burzonych domów. Od tych planowanych, celowych ruin myśl biegła konsekwentnie i wstecz, by usprawiedliwić i dawne, historyczne procesy burzycielskie, którymi wojna i pożoga równały grunt pod zabudowę i dla inicjatywy coraz nowych epok.

Uznawanie tych minionych, krwawych często przemian za korzystne pod względem architektonicznym, przychodziło nam tym łatwiej, że właściwie nie upieraliśmy się przecież nigdy przy niezmiennym, tradycyjnym obrazie Warszawy.

To miasto, począwszy od najdawniejszych wspomnień, pamiętanych jeszcze sprzed roku 1914 go przeżywalismy coraz nowe,

wciąż inne, falujące gorączkowo, pączkujące i mnożące się gwałtownie.

Od czerwonej romańskiej wieży Kościoła Panny Marii na Nowym Mieście do wieży Drapacza Chmur na Placu Napoleona rozpościerała się szeroka perspektywa. Uliczne latarnie gazowe, krzywe, jak gdyby zezowate dzieliła cała gama kolejnych zdobyczy technicznych od jaskrawej ferii neonów. Czerwone autobusy toczyły się bezgłośnie przez ulice Warszawy niedawnym jeszcze śladem turkotliwych tramwaj konnych. Radiowe głośniki śpiewały czasami zapomniane melodie Katarynki Prusa.

I w tym kalejdoskopie szybkich i niepowrotnych przemian — tylko już jednym następnym krokiem naprzód okazał się krwawy blask łun, huk detonacji bombowych i armatnich który towarzyszył nowej miażdżącej odmianie w losach miasta.

W pierwszych dniach września 1939 roku przekonałam się niestety, że moje sny o odmienionej Warszawie weszły w fazę groźniejszych urzeczywistnień — niż sielankowe reformy przedwojenne.

Osmalona i oczadziła tym pierwszym paroksyzmem zguby spadłam wtedy raptownie z dotychczasowego poziomu swego życia w ciemne podziemia, z trzech wymiarów zrozumiałych i logicznych zdarzeń wkroczyłam w czwarty wymiar, gdzie żyło się instynktem, snem i grozą.

Przypadkiem uniknąwszy śmierci, wypełziliśmy wtedy wszyscy między ruiny Warszawy jeszcze hardo, jeszcze nieświadomie sobie nieszczęścia, broniąc się przed trwogą, próbując stawiać się historii.

Pamiętam, że jeden z moich przyjaciół, krytyk artystyczny muzeolog i wtedy jeszcze dowodził po dawnemu, że bilans ostateczny wrześniowego zburzenia miasta, jest w sensie artystycznym dodatni i otwiera wspaniałe perspektywy dla rozbudowy miasta. Przyznawałam mu rację, trochę na przekór sobie. W tym czasie bowiem, mimo mężnych i zawziętych pozorów, chodziliśmy po Warszawie jak po cmentarzu, oplakując zarówno ludzi jak domy. Poprzez zgliszcza Nowego Świata, Wierzbowej i Świętokrzyskiej, poprzez absolutną odmianę warunków życia i utratę poczucia bezpieczeństwa zabrnęliśmy wtedy od razu w inny tryb istnienia, podległy prawom irracjonalnym i posepnym, w inny, trochę obłąkany, a trochę senny wymiar i czas. Na ulicach, powszednich od dzieciństwa, w czarną wojenną noc spotkało nas średniowiecze i jego upiory. Tylko że my, nie mogliśmy jak ów student z baśni Andersena zrzucić niebacznie włożonych kaloszy szczęścia, by obudzić się zwyczajnie ze złego snu. Nas, nasz wehikuł nieszczęścia wiozł coraz głębiej, coraz dalej w anachronizmy i bezsens okupacji. Ciemność i głód, okrucieństwo i fanatyzm, kaźń i pożoga towarzyszące odtąd ustawicznie każdej naszej godzinie były przeciw objawieniem średniowiecza w pozornie współczesnych ramach.

Zresztą i zewnątrz, już w pierwszych tygodniach wojny, wielkie miasto pozbawione światła, wody, lokomocji, rozpadło się jakby na dawne jurydyki, na oddzielne prymitywne miasteczka, które w kręgu niewielu ulic, nad wielką rzeką, obok gruzów zburzonych kościołów — wiodły swój ubogi żywot. A potem i tragedia żydowska wydzieliła z Warszawy, jak i z innych miast — Ghetto, zamknęła je murami, otwierając przed napiętowanymi jako dwie alternatywy: dobrowolną pustelnię klasztorną, lub heretycki stos.

Całe nasze życie okupacyjne było odąd właściwie nonsensem, wszystko było nadnaturalne zarówno tępa bierność jak gorączkowa aktywność, zarówno nieprawdopodobne cuda ocalań, jak przypadkowa, niezasłużona śmierć, paniczny demoralizujący strach i odwaga, granicząca z szaleństwem, cynizm i heroizm interesowność i bezgraniczne poświęcenie.

Dotknięta zniszczeniem tylko częściowo podczas oblężenia 1939 roku — Warszawa jeszcze pięć lat istniała w swej przedwojennej, mało zmienionej postaci. Jej domy znaczone tylko powierzchownie lekką skazą choroby, pokryte wysypką niemieckich napisów i sztandarów ze swastykami były po dawnemu niepozorne i codzienne za dnia, odstręczające w nocy przez ślepotę zaciemnionych okien. Ale to one właśnie zamykały w swych brudnoburych i cementowo białych ścianach wszystkie tajemnice i dziwy miasta i jego ludzi, całą wielkość i małość upartej i szalonej egzystencji warszawskiej.

Tym życiem rządziły nie tylko upór i szaleństwo. To była jeszcze sprawa jakiegoś specyficznego obłędu, niepodległa żadnej logice, regulowana przez biologiczne siły instynktu zbiorowego, przez potęgę atawizmów i nowość objawień, ryzykancką lekkomyślność, patos wielkich haseł i brak wyobraźni. Dzieje i psychika warszawskich kamienic i ich mieszkańców podczas ostatniej wojny czekają na swego naukowego badacza. Wszystko cokolwiek się o nich dotąd mówi jest niepełne i jednostronne wobec bogatej i tak rozmaitej skali składających się na nie pierwiastków.

Warszawski dowcip i zuchwała piosenka ulicznika odślaniała ich sens w nagłym skrócie, łajdaństwo szantażysty i tajniaka obok wysublimowanej egzaltacji podziemnego żołnierza ilustrowało dwa jego oblicza.

Tak, po latach to życie i ten stosunek do niego wydaje się nieprawdopodobieństwem albo snem. Dziwimy się zarówno własnemu spokojowi i opanowaniu wobec codziennej pewności śmierci, jak cynizmowi i interesowności jednych, odwadze i bezinteresowności innych. I nawet wspominając tylko, gmatwamy się w tej dziwacznej płataninie w tym wzajemnym przeroście zdarzeń i uczuć będących raz ohydą, kiedyindziej cudem.

Pięć lat okupacyjnego terroru było specyficzną szkołą charakterów i nawyków. Bimber bywał narkotykiem i trucizną, odwaga i ryzykanctwo wiodło zarówno do świętości jak do zbrodni. Mały chłopiec, którego zimą 1940 roku widziałam zjeżdżającego na saneczkach torem wyslizganym pomiędzy dwoma żołnierskimi grobami — po pięciu latach szedł z butlą benzyny na niemieckie tanki. Dziewczyna, która na Wielkanoc 1943 roku piła i tańczyła, nieczuła na dymy palącego się Ghetta — zginęła na staromiejskiej barykadzie. Warszawskie kamienice mieściły w sobie strychy i podziemia, tajemnice nawarstwione piętami, składy broni i bibuły i meliny złodziejskie, tajne gorzelnie bimbru i uniwersytety, domy publiczne i drukarnie, ukrywanych żydów i agentów angielskiego wywiadu. Kipiały dygotały, zakłamywały się i dekonspirowały od nadmiaru spraw i tajemnic.

W pierwszych dniach powstania warszawskiego patrzałam przez szerokość ulicy Koszykowej na pożar niepozornej burej kamienicy warszawskiej, domu, którego głuche okna obserwowałam domyślnie przez szereg poprzednich miesięcy. Jego ściany kurczyły się, wyginały, czerwieniały i czerniały, traciły formę, zmieniały barwę przed ostateczną rozsypką. Te przed-



śmiertne gry masy i podrygi materii trawionej przez ogień były jakby finałem w szeregu zmian nurtujących go wewnątrz — uosobieniem ognia symbolicznego. Niepozorne kamienice warszawskie przez pięć lat dowiercały się w osłonie swych ścian, jak szyby naftowe do podziemnych źródeł energii. Po tych wielu latach ukradkowych działań konspiracyjnych, gorączkowego dygotu, utajonego w głębi, przenośnego palenia się, przenośnej podziemności — wybuchnął nagle gromadzony tak długo materiał palny, trysnął w górę płonący słup ropy, ogień rozsadził skorupy ścian.

I jednocześnie z tym wybuchem z całą bezsensowną logiką złego snu — pojęcia i symbole wcieliły się w rzeczywistość. Na ostatnim płomiennym etapie swych dziejów wojennych — Warszawa zapłonęła nie tylko symbolicznie, nie tylko w przenośni stała się podziemna.

Istotnie obsiadła w dół wśród wstrząsów morderczego bombardowania, weszła wszystkimi swoimi piętrami głęboko w katakumby piwnic, związała się kanałami i przebitymi przejściami podziemnymi, sprzęgła na poziomie bruku klamrami barykad. Ostatnie tygodnie jej minionego życia, jej dramatycznej i szaleńczej walki przeżyliśmy w wilgoci podskórnej jej wód, u korzeni jej kamiennych fundamentów, w pyłe jej rozpadających się ścian.

I tu, w najcięższych chwilach grawitowania między bólem a strachem, śmiercią a głodem, wśród trupów ludzi i domów towarzyszył nam ten sam, tak bardzo irracjonalny i tak upajający w swym obłąkaniu patos odwagi, mający w sobie coś ze złego snu i coś z gorączki.

Te same sytuacje sprzed pięciu lat nawiedzały nas w spotęgowanej sile, przynosząc z sobą trwogę i fanatyzmy, narkotyzując nas, jak morfina ludzi skazanych na śmierć. Tych kilka tygodni spędzonych w ogłuszającym huku walących się domów i padających pocisków, w krwi i brudzie, bez chleba i bez nadziei zamykały w sobie wszystko co jest nie do pomyslenia normalnie: Śmierć jako zwykłą codzienność, życie jak przemijającą i nieistotną błahostkę, trywialne potrzeby ciała i wysublimowaną, niepojętą hartowność ducha, bohaterstwo wynikające nie tylko ze wspaniałego poczucia obowiązku ale i z zuchwałego, młodzieńczego głodu przygody. Znieczulani do ostatka toksynami niezrozumiałej odwagi uparcie trwaliliśmy na swych męczeńskich i straconych pozycjach.

I tak właśnie, w półprzytomni odpornie i bez łzy pożegnaliśmy w dzień kapitulacji-Warszawę.

Poszliśmy w rozsypkę, ale oblęd warszawski trwał. Baliśmy się z niego obudzić na gorzkich i żebraczych drogach wygnania. Baliśmy się wspominać na trzeźwo miasto samotne i splugawione, w którego gruzach wyły psy, szukając trupów, a działa niemieckie i radzieckie przeszcze kiwały się głucho nad zgliszczami naszych domów.

Ale w zimne noce wyczerpania i tęsknoty zły sen o Warszawie przychodził znowu, straszył, dręczył i przypominał. I jak wtedy w dzieciństwie z sercem skurczonym od wyrzutów i lęku błakaliśmy się po ulicach, których nie ma, szukając domów niepodobnych do wspomnień.

Ale żadne z tych rojeń, pełnych tęsknoty i lęku nie było tak podobne do złego snu jak nasz pierwszy, rzeczywisty powrót do Warszawy.

I wtedy jednak nadmiar strat znieczulił nas jak operacyjny zastrzyk. Nieprawdopodobieństwo tego, co musieliśmy kolejno przeżywać i wytrzymywać przez ostatnie lata — odebrało nam do reszty poczucie rzeczywistości.

Tak było przecież przez wszystkie poprzednie etapy wojenne. Każda przewycięzona sytuacja, każde niebezpieczeństwo, które udało się nam opanować zbiegiem najbardziej kapryśnych okoliczności i nieprzewidzianych wysiłków — w następstwie wydawały się nam niewytłumaczalne. Toteż i teraz w tym ostatnim, przełomowym nieszczęściu naszej wojennej martyrologii, na gruzach Warszawy, uwierzyliśmy, że klęskę raz przeżył, zawsze można zwalczyć i zrekompensować.

I uwierzywszy w to z chłodną trzeźwością ludzi obłąkanych zamknęliśmy uparcie drogę do wspomnień, zbyt ciężkich, aby je znieść i z całą siłą uczepiliśmy się przyszłości.

Przyszłość! Znaliśmy dobrze jej kaprysy i zasadzki. Budowano ją w Warszawie w naszych oczach, na przestrzeni szeregu lat przedwojennych, z lśniącego asfaltu z doskonałego cementu, granitu i piaskowca, z najlepszych nadziei. Wystawa: „Warszawa wczoraj, dziś i jutro” urządzona przez prez. Starzyńskiego w Muzeum Narodowym biegła w tę przyszłość strzelistą linią projektowanych gabarytów i alei.

I teraz właśnie oglądaliśmy naocznie ku jakiej to przyszłej rzeczywistości zmierzały gigantyczne perspektywy tamtych dni.

Hasło: Pewność i Zaufanie zgruchotane i unicestwione zniknęło z frontonu P.K.O. Pod neonem, reklamującym niegdyś „Ubezpieczenia na życie” stały rzędem czarne krzyżyki żołnierskich domów. Domy w których rodziliśmy się, żyli, pracowali, wyszczerbiły się jak zęby wyłamane do dziąseł w zażartej walce. Wypalone doszczętnie skorupy ścian, pełne popiołu i nieczystości stały obok siebie niby urny w jakimś upiornym krematorium miasta. I tylko za zrządzeniem bezsensownego trafu sterczał między zwaliskami ten czy inny ocalony dom.

A jednak dawna, znajoma, bliska Warszawa jeszcze istniała tu w jakimś niesamowitym przekomponowaniu, w jakimś widocznym przypomnieniu swego niezmiennego układu. Leżała przywalona gruzami i popiołem, jak widmowy schemat pokratkowany przez gładkie jeszcze nawierzchnie ulic, jak obnażony z ciała kościotrup, albo liść z którego pozostała tylko siatka unerwień gdy mięsz zezarły złośliwe robaki.

Ten nowy obraz miejsc zmasakrowanych, a jednak podobnych w planie do swej dawnej postaci, rozstrzelanych i spalonych na stosie, a jednak istniejących w wiele miesięcy po wykonaniu wyroku prowokował namiętnie do akcji, do odbudowy.

To co wydawało się za przegrane na zawsze, jeszcze w krwawe dni powstania i potem z oddalenia, na co nie czuliśmy się dość ufni ani dość silni — pchnęło ludzi do rodzinnego miasta ślepym nawrotem pasji i tęsknoty.

Zorganizowani, świadomi swych celów, uzbrojeni w wielki aparat techniczny, wtajemniczeni w arkany z góry przewidzianych potrzeb — zwrócili się do Warszawy spece, magowie, architektki.

Zywiołowo, chaotycznie, bezładnie poczęli ściągać do miasta ci, których tu wcale nie przewidywano i nie proszono, zwykli ludzie, maniacy nie umiejący żyć w żadnym innym miejscu świata.

I oto od razu, w samym zaczątku odbudowy zarysowała się dwojakość dróg i różnorodność urzeczywistnień.

Pięknie i korzystnie było pomyśleć i zamierzyć Warszawę przyszłości, Warszawę idealną i logiczną na białych arkuszach kreślarskiego Shellershammera a potem, w przyszłości na gruncie oczyszczonym najstaranniej z wszelkich śladów dawnej zabudowy. Gorzej i trudniej było gnieździć się jak szczury w ruinach swych własnych mieszkań, trwać pod szczątkami walących się ścian, kryć prowizorycznymi dachami skazane na zniszczenie rozwaliska. Teoria zakreśliła swe plany na dziesiątki lat i dziesiątki kilometrów. Praktyka tandetna i pośpieszna mogła operować zaledwie długością jednej belki lub kilku cegieł, dystansem doby lub tygodnia.

Od roku przeszło gniewamy się zarówno na BOS za powolność i zbytnią rozważę w realizacji swych ambitnych zamierzeń, jak i na inicjatywę prywatną, bezplanową, indywidualną, ryzykowną.

I od roku przeszło patrzymy ze zdumieniem jak żyje, jak się odradza, krzewi, rozprzestrzenia nowe warszawskie życie — wbrew teoriom i przewidywaniom, z brutalną i pospolitą siłą regenerującego się pośpiesznie organizmu.

Siądmy już rok miasto stołeczne Warszawa żyje tak, jakby nagromadził się w nim, zamagazynował przez wieki i wybuchnął wreszcie cały ładunek polskiego szaleństwa. Szalona i samobójcza w zapamiętaniu dwukrotnej walki zbrojnej i szalona w fanatyzmie biernego i dywersyjnego oporu przeciw Niemcom, niemniej szalonym sposobem wkracza w pozytywny okres swej odbudowy. Czas jest płynny i rwący swym prądem, obraz przemian zmienny. Każdy miesiąc ulepsza i przekształca formy warszawskiej egzystencji.

I ujęcie syntetyczne tych wszystkich nieprawdopodobnych sytuacji, którym ludność warszawska musiała sprostać, rozpoczynając walkę o dach i chleb zbyt szybko staje się nieaktualne.

Trzeba by na to znowu historyka który by spisał dzieje upartych obłądnych dni, w których z chaosu bezkształtnych gruzów, z makabry gniących trupów, z bezładu wyszabrowanych i zwęglonych „łachów” i „ciuchów”, z brudu i nadludzkiego wysiłku wynikało zorganizowane życie.

I trzeba by nie tylko historyka, ale i psychologa. Bo poza logiczną rzeczywistością następujących po sobie faktów jest jeszcze i ta siła, która nie wedle urzędowych zamiarów i nie na miarę ludzkich możliwości pcha nową Warszawę w twórczy i wspaniały bezsens.

Dzięki niej rozrasta się to miasto, rozprzestrzenia i żyje, koszmarne, pozornie odstręczające, całe zrobione z tandetnych bud, kleconych szałasów, kup gruzu, kurzu i błota. Z biegiem czasu nie staje się w niczym podobne do siebie dawnego i w niczym także nie przybliża do tej wizji architektów, która wabi nas i drażni świetnymi projekcjami na ekran przyszłości. Jest funkcją codziennych, doraźnych potrzeb, wykwitę pasji sprzymierzonych temperamentów, jeszcze jednym dziwnym i nie-trwałym snem tej wojny. Ale taka właśnie jaka jest groteskowa, okaleczająca i bujna, jest Warszawa znowu wcieleniem tego specyficznego warszawskiego ducha, który ukazał się nam gwałtownie w pierwszych od razu dniach września 1939 roku.

Objawien tego ducha opornego i fanatycznego podawała nam dotychczas w skrótach historia, od insurekcji Kilińskiego poprzez manifestacje 61 roku po pochody 1905 roku. Ale dopiero podczas

ostatnich lat staliśmy się widzami i współaktorami stanu tej zbiorowej psychozy, która przewyciężając złe sny istotnych okoliczności, trzymała nas w swej władzy przez wiele lat, zarówno zbrojąc, jak znieczulając wobec klęski.

Możemy przeklinać i błogosławić to szaleństwo. Zawdzięczamy mu śmierć najbliższych i własne przetrwanie, upadek i odbudowę swojego miasta i domu, najkrwawsze cierpienia i najwyższe upojenia minionych lat. Ale nawet oskarżając i złorzecząc nie umiemy się przeciw niemu buntować. Wieczne i organiczne jak wewnętrzna skaza psychiki polskiej jest ono motorem tak wielu naszych czynów, infekuje nas i narkotyzuje w najcięższych okolicznościach. I jak błędna i fascynująca gwiazda prowadziło nas niegdyś przez wieszczce i infantylne sny dzieciństwa, a potem przez okrutną jawę lat dojrzałych. A teraz jak ta norwidowska „wieża sięgająca nad płaskie domy w chmury” — świeci wciąż jeszcze nad skrwawioną rozsypką, nad prowizoryczną zabudową i nad przyszłą pięknnością warszawskich ulic.

JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA

### JESIEŃ LWOWSKA

Nie trzeba nam iść do Grecji ani na Forum Rzymu.  
Cały nasz świat jest przeszłością i każdy dom nasz — ruiną.  
Jesień nas niby akantem i bluszczem wokół oplata  
liściem miedzianym i złotym — wieńcami na gruzach świata.

Może tam jeszcze trup leży w tej rdzawo-czarnej zawiei?  
a może serce się krwawi i płacze swojej nadziei?  
To nic! Patrz — gruz się zieleni, kamień zakwita stuletni —  
Słuchaj jak strofy jesieni w konarach wiatr gra jak w fletni —

Nic się już z tego nie złoży — z tych gruzów serca i domu.  
W ruinach pasą się kozy. — Komu żyjemy? — Nikomu.  
Jesień tu tylko panuje w śmiertelnym królestwie swoim  
i pajęczyny się snują nad życiem twoim i moim —

Klęczą nad ziemią obłoki łez pełne, pomsty i groźby:  
Niewypełnione nadzieje — niewysłuchane prośby.  
Lecą za wiatrem liście — na wschód — na zachód? nikt nie wie.  
Wszyscy jesteśmy już liściem w dzikim, obłądnym rozwiewie —

Ach kiedyż wreszcie spoczniemy, sami kamienie na gruzach?  
Kiedyż nad nami jesienią liście przelecą jak burza?

Cicho, dostojnie, z wszechkrańców czarnym spływają strumie-  
trumny spokojne i senne — w ocean spokojny Ziemi... [niem]

## Z EPIGRAMATÓW

### Ź R Ó D Ł O

Gdy kwiat nad inne wysoki,  
ciemność wspomnij, której wessał soki —

Gdy uśmiech jak uśmiech świętych,  
w otchłań spojrzuj, nad którą tęczę go rozpięto —

A gdy napotkasz kiedy wiersz piękny a prosty,  
wspomnij otchłań i ciemność i grób — grób żaloszny.

### C H W A S T Y

Kiedy nas będziesz sądził Boże,  
na ogród zdziechały spojrzuj.  
Powstaną na sąd Twój z martwych  
drzewa skarłate i bezwonne kwiaty —

Nad nimi schyl się, o Sędzio — ku chwastom zstąp, perzom, ostom  
Zaszepcą usta zgorzkniałymi  
— — — wszystkie — wszystkie różami chciałyśmy być ziemi —  
wszystkie — wszystkie chciałyśmy rósć prosto —

STEFAN ŁĘCZYC

## L Ę K I G Ł Ó D

Dawno już rozstaliśmy się z fałszywym twierdzeniem romantyków, że miłość uszlachetnia. Skłonni jesteśmy raczej przyjąć, iż jest ona, jak każda inna dziedzina mobilizująca ludzką energię, terenem, na którym zmierza się człowiek z otaczającym go światem. Klęski nasze lub zwycięstwa erotyczne są wynikiem tych samych trudów, jakie podejmujemy w pracy zarobkowej, tych samych napięć duchowych, jakie towarzyszą nam w sferze dążeń czy zainteresowań. I tu i tam — tłumaczymy sobie — niepowodzenie lub szczęście rozwiązuje ogniwa potencjalne, których gatunek i istnienie składają się na nasze duchowe oblicze.

Oto dlaczego poddajemy ciągle ostrzejszej kontroli nasze doznania erotyczne; dlaczego emocje nasze w miłości pozbawione są tych wirów, zrywów i zwichrzeń, w jakie obfitował romantyzm. Oto dlaczego atmosfera tych doznań widzi nam się dzisiaj z wielu względów czystsza i dlatego jest ona bez wątpienia — chłodniejsza.

Ta uproszczona skądinąd interpretacja zmusza nas jednakże do liczenia się z akcją hamulców wewnętrznych działających w porywach dzisiejszego człowieka, wskutek czego we wszystkich jego poczynaniach dostrzec się daje jakiś mniej lub więcej uświadomiony racjonalizm. I tak z czysto emocjonalnego zagadnienia przechodzimy na tereny rozumowej interwencji, na tereny kultury, skąd wznosi się nasza rzeczywistość. „I jeszcze nam smutniej”...

W ramach psychoanalizy kultura oznacza wytrenowaną umiejętność rezygnowania. To stopień i gotowość rezygnacji z barbarzyńskiej zasady rozkoszy na rzecz interesów zbiorowości. Innymi słowy: ciężar kultury przygniata wszystko co w człowieku budzi się z pokładów podświadomego życia do zewnętrznej manifestacji, przydając porywom tłu-

miący akcent intelektu. Lecz obserwacje naukowe ostatnich lat pouczają, iż: „...,musimy wyzbyć się katastrofalnego przekonania, że w umyśle naszym odbywają się jakiegokolwiek działania odpowiadające koncepcji czystego rozumu. Wszelkie procesy rozumowe podlegają udziałowi i wpływowi uczucia... Intelekt okazał się tylko organem ludzkim podlegającym upodobaniom i kaprysom, podobnie jak żołądek czy nerki”... Wbrew zatem twierdzeniu psychoanalizy nie mamy żadnych faktycznych danych do utrzymywania, że czujna kontrola rozumu nad nieświadomą wolą „głębi” duchowej jest miarą dojrzałości człowieka. W jakich więc warunkach rodzi się nasza równowaga psychiczna: czy wtedy gdy góruje nad nami intelekt, czy wówczas gdy opanowuje nas impetyczny odruch podświadomości? Jedynym miernikiem byłaby tu twórcza radość człowieka wywołana organicznym związkiem między jego zamysłem a realizacją, w której widzi on zmaterializowany obraz swoich idei lub ambitną rolę w kształtowaniu rzeczywistości. Ale ile w tym autogustii, ile egotyzmu, czy po prostu smutnych poszukiwań treści dla tej tragedii przemijania jakim jest życie? A ponadto, jakie kategorie bezwzględne rozstrzygają o charakterze twórczym naszej działalności? Sama przydatność poczynań człowieka interesom gromady, jak chce psychoanaliza, to kryterium elastyczne i łamliwe; rzeczywistość nasza przyznaje często słuszną niezdiscyplinowaną, rewoltującą jedność. Żyjemy w epoce masowych obłądów, bardzo do średniowiecza podobnych, z którymi w śmiertelnym pozostawali konflikcie mężowie tej miary co Savonarola lub Dante.

Wypada jeszcze zauważyć, iż zjawisko zwane popularnie kulturą, czyli książkowa wiedza o życiu, napawa respektem i ulepsza maluczkich, „ubogich duchem”, słowem, nieuczonych. Tych co nie wiedząc wierzą, że w szacownych regionach kultury dysponuje się bezspornymi kategoriami etycznymi w ocenie „dobra” i „zła” i wierzą, że spowodowanie sprzeczności z kategoriami pozytywnymi odbiera nam wszelką godność i podrywa nasze znaczenie. Kultura zatem tłumi odruchy podświadomości tam gdzie jest mitem, czymś odległym i niezgłębionym. Wszędzie tam natomiast gdzie jest ona racjonalnie opanowana, gdzie jej prawdziwa wartość zamyka się w płynnych ramach konwencji, w ramach raptularza myśli i praktyk o znaczeniu wybitnie umownym — wszędzie tam ustaje korygująca funkcja kultury i człowiek znajduje się w obliczu wiecznych tajemnic życia. Ta świadomość, ten stopień poznawczy, uwalnia nas jakże często od elementarnych imperatywów etycznych, skłania niejednokrotnie do przyjęcia rabunkowej wobec życia postawy, narzuca cynizm jako orientację i jest najczynniejszą bodaj fabryką ludzkiego łajdactwa. Stąd bezwzględność i nicość moralna każdej góry społecznej, stąd obyczajowa deprawacja wieku oświecenia i o tyle prawdziwa, o tyle pokrywająca się z codzienną praktyką życia, teza Russa o ujemnym wpływie kultury.

Gdy więc miłość nie podnosi a kultura nie ulepsza, w jakich sferach myśli i wrzuceń doskonalili się człowiek; jaki jest klimat duchowy i jakie warunki realne naszego rozwoju i dojrzałości?

Zanim odpowiemy na to pytanie trzeba nam ustalić interesujące nas tu pojęcia, uchronić je od skrzywień, których w odniesieniu do poszczególnych słów dokonuje język codzienny. I trzeba drogą odkrywania potencjalnych motywów, jakie się w tych pojęciach mieszczą, scalić dynamiczny obraz poruszonego zagadnienia.

Dominującym uczuciem duszy ludzkiej jest niepokój. Od pierwszych irracjonalnych spazmów dziecka, poprzez bolesne dojrzewanie i „wieczne zmartwienia” wieku pracy, aż do okrutnego zmierzchu naszych dni — trapi nas lęk, niepokój, nieodstępne widmo śmierci.

Posłuchajmy tę pełną świeżych dźwięków, niezapomnianą strofę Kasprowicza:

„Ma przyjaciółko, pytasz się co robię  
I czy mi życie upływa spokojnie,  
Owszem, po nikim nie chodzę w żalobie,  
Bo nikt mi z drogich nie umarł na wojnie.  
A choćby nawet — mam wzdardę dla łez.  
Co zaś do innych spraw to powiem tobie,  
Że śmierć za nami włóczy się jak pies”.

Praca całego naszego życia poświęcona jest pokonywaniu lęków; tragicznemu przepędzaniu cieniów śmierci. I praca ta stworzyła trzy wielkie iluzje, trzy nad śmiercią zwycięstwa — jak wszystko co ludzkie — smutne i nietrwałe. Są to władza, sława i miłość. Do nich, do tych urojeń czy sugestyj, ucieka zastraszony człowiek, szukając mocy, broniąc się przed rujnącą siłą czasu i przed groźną tajemnicą życia.

Ale głęboki proces zespolenia się człowieka z człowiekiem, dokonany w obronie przed zagadkowością bytu, nie ma charakteru aliansu, ani nie uwalnia nas od ludzkich przywar czy ułomności. W umiłowanej osobie bowiem dopatrujemy się wcielenia wszystkich tajemnic płci, które budzą nasze pierwsze, najgłębsze, nigdy bodaj nie gasnące niepokoje. I oto przez zbliżenie do źródła lęku odzywają się w nas, jak echa w mrocznym borze, dwie reakcje: ochota rozpoznania przyczyn i gotowość do ich opanowania. W konsekwencji rodzi się przymus ujawnienia siły, wyższości, przewagi, wypełniający w erotyce całego człowieka — i w miejsce niepokojów wstępuje zdobywczy kontenans. Ta nietrwała przemiana duchowa budzi w człowieku najwyższe przymioty ale też drastycznie odsłania całą naszą niedoskonałość, która oślepiona łatwością zwodniczych sukcesów, zatracą poczucie bezsily, miary i granic. W tym wspomniana już wielkość iluzji i bezwzględna demonstracja zarazem naszych absolutnych cech.

Energetyczne zatem horyzonty miłości to najżywotniejsze strefy duszy ludzkiej zmierzającej zawsze i wszędzie do odpędzenia strachu, przeniknięcia tajemnicy i — panowania. Miłość jest dla tych doświadczeń terenem najbliższym, najbardziej atrakcyjnym, z uwagi zaś na sensacje natury seksualnej przydaje ona tym doświadczeniom poczucie kosmicznego związku człowieka z przyrodą. I tak z elementów lęku, chęci poznania i panowania oraz z przeświadczenia, że stosunek seksualny jest aktem pojednawczym z groźną tajemnicą natury — rodzi się człowiek.

Toteż musi ktoś ulec, ktoś musi ugiąć się, aby spełnić się mogły zasadnicze postulaty miłości: poznanie i panowanie. Tysiące lat żyła ludzkość w przekonaniu, że stroną słabszą, że stroną zarówno z roli jak i z natury przeznaczoną do uległości jest kobieta. I za tę pomyłkę płaciła ludzkość ciężki haracz składany przez każde pokolenie w postaci niesławnej śmierci wielu „zawiedzionych”. W mniejszym oczywiście stopniu trwa ta tragedia po dzień dzisiejszy, będąc przyczyną znacznych nieporozumień. Duchowe reakcje bowiem, o których wyżej mowa, są niezależne od rodzaju płci i liczyć się trzeba z okolicznością, że ich rozmiar i napięcie większe są raczej u kobiet. Dlatego, że procesy biologiczne formujące kobietę powodują jej nieustanną pobudliwość; że przez wieki spychana do upokarzającej roli nie jest wolna dusza niewiasty od kompleksów niższości, które szukają zadość-uczynienia — i dlatego również, że miłość to do niedawna jedyny a i dziś najgłówniejszy teren kobiecych zainteresowań. I przeto jej duchowa w tym kierunku sprawność oraz środki działania są znacznie wyższego rzędu od kategorii imperatywnych, z którymi zrosła się próżność męska i nieskomplikowanie.

W skrzyżowaniu nakreślonych tu perspektyw okazuje się miłość jako walka o supremację, jako starcie dwóch procesów psychologicznych o sprzecznych tendencjach, jako energetyczne rozładowanie lęków — duchowa erupcja.

Teraz — o kulturze.

Miguel de Unamuno tak sobie wyobrażał powstanie kultury: Dwóch mieszkańców globu z odległych, pierwszych epok naszego na ziemi istnienia, pracowało na roli. Jeden gorliwie spełniał swoje zadanie a drugi — był leni. Leni ten niepozornie ale systematycznie opóźniał się ciągle więcej w pracy, którą z konieczności wykonywał za niego jego towarzysz. Kiedy po pewnym czasie pozbył się pracy zupełnie, wrócił o zmierzchu do swojej lepianki, położył się przed progiem, spojrzął na niebo i pomyślał: „Skąd biorą się te gwiazdy?”

Tak oto potwierdza Unamuno ogólnie przyjętą wykładnię, że kultura pochodzi od refleksji, zastanowienia. Że jest świadomym przejściem człowieka z prymitywnych powikłań i uprzedzeń do systemu poznawczego, do organizacji ducha. Trzymając się biblijnego schematu na temat powstania świata, miała ona zakiełkować w 7-mym dniu tworzenia, w dniu odpoczynku i swobodnej myśli. W tym rozumieniu zajmuje się kultura podsumowaniem doświadczeń, przystosowaniem naszych porywów do wymiernych ram rzeczywistości. Czyli, że jest to rejestr naszych zdobyczy — kapitał moralny człowieka.

Wypada jednak zwrócić uwagę na to, że protoplaści nasi z anegdoty Unamuna reprezentowali już poważny dorobek kulturalny zanim jeszcze ów uroczy leni zastanowił się nad pochodzeniem gwiazd. Przecież pracowali na roli, dorabiali się chleba, co bez kultury, jako zasobu wiedzy, jest nie do pomysłenia. Organicznie złączona z szeregiem innych składników naszej psychologii wypływa ona z podświadomości człowieka wespół z innymi odruchami. W kulturze ulokowała się przyrodzona nam potrzeba czynu, potrzeba tworzenia: nasz dynamizm, którego prężność wysunęła nas na czoło wszystkiego co żyje. Przed narodzeniem świadomości był gest wewnętrzny, wynalazczy duch przekory, naginający rzeczywistość do odruchów instynktu. I od tego gestu powstała myśl, koncept, aż przyszły pierwsze wstrząsające rewolucje ludzkiego geniuszu: brona, koło i liczba.

Spóźnione ukazanie się kultury w tej formie jak ją dziś rozumiemy i odczuwamy, nie wyklucza wcale jej istnienia w najodleglejszych epokach naszej historii. Jest ona nieodłączna od życia ludzkiego i ma tyle lat co człowiek.

Doskonalenie się bowiem ssaków aż do najwyższego szczebla, które zajmuje dziś człowiek, szło w parze z rodzajem pożywienia i ze sposobami zdobywania pokarmu. Od zwierza, któremu obrzydła padlina, surowe zioła i korzenie i od wysiłku dla znalezienia nowych potraw poszło pierwsze tchnienie człowieka i pierwsze tchnienie kultury. Im przemyślniejszy był sposób zdobywania żywności, im bardziej wyrafinowany smak, tym większa rozdziła się troska o życie i pogłębiał się stopień kulturalny pierwszych ludzi świata. Po dzień dzisiejszy najżywszym elementem, który decyduje o obliczu duchowym człowieka, jest chleb codzienny a raczej społecznie utrwalony środek do uzyskania chleba: pieniądź.

Źródłem kultury jest głód oraz zdobywanie środków do zaspokojenia głodu. Nasza duchowa wyższość nad światem zwierzęcym datuje się od chwili kiedy człowiek posługując się ogniem przyrządził sobie ciepłą strawę.

Jeżeli tedy wypadnie nakreślić kulturę, jako zjawisko potencjalne kształtujące duszę ludzką, będziemy musieli sięgnąć do najstarszych pokładów naszej psychologii, tej samej daty co strach i gniew. A wtedy nie ma żadnego powodu do uważania jej za emanację wyższego stopnia ludzkiego rozwoju lecz za jeden z elementarnych czynników charakteru człowieka. W płaszczyźnie moralnej czynnikami tymi są identyczne miary dobra i zła, którymi wyposażeni idziemy życiu naprzeciw. Tak jak je widział i jak je rozumiał Szekspir pisząc burzliwe dzieje bohaterów swojego teatru.

Los nam porówni odmierzył elementy prężności, akcji, co i reakcji; wyposażył nas w takim samym stopniu uczuciami lęku, co i mocy dla jego pokonania; tyle w nas gwałtownej energii i niepohamowanych zrywów



co oporów wewnętrznych, które nas reflektują. Równowaga duchowa jest naszą przyrodą, jak umiejętność trzymania się w pozycji pionowej, jak symetryczna budowa naszego ciała. Dlatego uczucia nasze nie są jednolite, nie są one czyste i dlatego wahanie jest oznaką walki duchowej a możliwość dokonania wyboru, zgodnie i po myśli wypełniającej nas równowagi, odczuwamy jako radość wewnętrzną i nazywamy — wolnością.

Człowiek z natury jest wolny.

Prawda, że szczęście ludzkie leży w ludziach samych; ale poza nami jest jeszcze potężny, okrutny świat, warunki zewnętrzne, które nas rzeźbią. Materiał ludzki jest surowcem podlegającym społecznej obróbce. Kultura i miłość budują nas tylko o tyle o ile odpowiada to zarówno naszym prymitywnym potrzebom jak i obsesjom, świadomym i nieświadomym celom, w których wyobraźnia widzi szczytowy stopień równowagi, wymarzone granice naszego szczęścia. I dopiero realne przeszkody jakie napotyamy na drodze do zrealizowania tych potrzeb, stopień ich ujawnienia oraz rodzaj pełni jaką odczuwamy, w wyniku dążenia do swobody, wolności — wszystko to czyni z człowieka zbrodniarza albo anioła.

Dziś, gdy zużyły się słowa, gdy sponiewierany człowiek odwraca się ze zrozumiałą pogardą od apelów odwołujących się do jego rozumu i serca, może warto wskazać jak obojętne są mu wszelkie kierunki ideowe i myśli światoburcze a ile stanowi dla niego stara, okrzyczana wolność, której miernikiem jest rozmiar strachu trapiący człowieka i — cena chleba.

Rozwój nasz zatem, nasza dojrzałość i równowaga duchowa, zależne są od warunków bezpieczeństwa, które zmniejszają lub powiększają uczucie lęku i od kosztów czy też świadczeń jakimi się człowiek wypłaca za swoje wyżywienie.

Z tych powodów nieścista wydaje nam się podstawowa teza psychoanalizy, że człowiek jest stworzeniem młodym a przeto i złym, co nieuchronnie wynika z jego niedawnej, zwierzęcej przeszłości i co decydująco wpływa na losy naszej gromady. Natomiast za bliższą prawdy uważamy myśl, iż pod naporem terroru lub wyzysku cofa się człowiek do starych, przez-wyciężonych pozycji swojego rozwoju.

Tylko w atmosferze głęboko odczuwanej wolności rozwija się i ulepsza człowiek.

Naturalnym ujściem ludzkich niepokojów jest miłość. Dlatego każdy system, który poprzez strach zdobywa posłuch, uznanie oraz władzę, jest klęską ludzką bez względu na myśl polityczną czy ideową jakiej służy. Niszczenie bowiem substancji erotycznych człowieka, wykorzystywanie ich dla celów obcych miłości, daje w rezultacie obojętną jałowość, o krok już tylko od moralnej inercji, bezmyślności i zbrodni.

Powiedział kiedyś France, że „ustawa w swej wspaniałej równości zabrania, zarówno bogatym jak i biednym, spać pod mostami, zebrać na ulicach i kraść chleb”. Sielankowy niemal wydaje nam się ten obraz niedoli, za pomocą którego wielki pisarz starał się wyrazić swą ironiczną myśl. Europa naszych czasów wykazała więcej pomysłowości w realizowaniu scen ludzkiej klęski. Ale inny nas tutaj interesuje aspekt. Ten mianowicie, że chleb jest naszą legitymacją kulturalną, że od chleba zaczął się człowiek, że poniżej tego poziomu jest już tylko... przestępca. I że porządek społeczny, który za utrzymanie człowieka na wysokości „zjadacza chleba” zmusza go do wielogodzinnej, ciężkiej pracy — że porządek taki prowadzi nas niechybnie do Europy spod znaku swastyki i liktorskich różg.

Serce i rozum, najstarsze symbole miłości i kultury, to składniki ciężarów potencjalnych utrzymujące naszą równowagę. Cokolwiek tę równowagę utracą, atakuje nasze, poczucie wolności; jest wrogiem człowiekowi, jest przeciwne życiu. Wszystko zaś co mówi się obecnie o politycznym zwrocie świata na lewo, klóci się z gwałtownym wzrostem siły i znaczenia pieniądza — starego burzyciela ładu. Znow z ruin dźwiga się potwór przeszłości i sięga po zastraszone serca.

Historyczna miara pieniądza różne na przestrzeni wieków spełniała zadania. Upton Sinclair próbował w ciekawej książce, „Mammonart”, dowieść, że kapitał był zawsze najistotniejszym elementem poruszającym sztukę. My wiemy, że jest on bezsprzecznie czymś więcej. Zarówno tam gdzie jego potęga ustala dosłownie wiek naszego życia, jak i tam gdzie, przebrany, paraduje w szamerunku cnót obywatelskich, zasług i uznania.

Pieniądz jest dla większości ludzi zaporą w przekroczeniu poziomu chleba, przez co pomnaża ludzkie niepokoje i spłaszcza ludzkie aspiracje. Pieniądz nas przerósł i degeneruje. W tych warunkach trudno mówić o miłości i kulturze jako o zjawiskach absolutnych, w świecie naszym bowiem tak samo miłość jak i kultura są to rzeczy kupne i sprzedajne. W rezultacie mamy do czynienia z większą lub mniejszą miłością pieniądza i kulturą — stanu posiadania. Coż zatem dziwnego, że naszą równowagę duchową ustala rynkowy kurs węgla, nafty lub złota. Z psychologicznego punktu widzenia jest rzeczą obojętną czy pieniądze na chleb, za które się człowiek wyniszczył i wyżyłował wypłaca mu kasa skarbowa państwa czy przedsiębiorstwo prywatne. Wartość pieniądza nie może być większa od wartości ludzkiego życia a krzywdzony, zastraszonego człowieka jest zły i mściwy, bez względu na swoje właściwości czy inklinacje.

Cokolwiek w sferze uczuć tworzy pieniądz jest w najlepszym wypadku nieczyste. Miłość jak i kultura, wydobyte z podłego gruntu eksploatatorskich koncesyj, mają ów ciemny błysk właściwy kamieniom szlachetnym o zdeprecjonowanej wartości. Błysk ten oznacza, że do procesu tworzenia się minerału wniknął obcy czynnik, przez co zmienił się obraz wewnętrzny kamienia i jego wolna styczność ze światłem uległa zmaczeniu.

Prowadzona przez nas wojna z faszyzmem, to od strony ideowej jedno wielkie nieporozumienie. Fundament dzisiejszej demokracji tworzą stany uczuciowe, myśli oraz codzienna praktyka, na których faszyzm buduje swoje ponure miasta. Z ciemnych uliczek przemocy i bezwzględności, w jakich żyjemy, idą w świat kolumny Gestapo lub S.S. i trudny byłby spór czy nieszczęśliwe ofiary z Bergen-Belsen zamęczył na śmierć osławiony Kramer czy nasza cywilizacja.

Już po paru minutach rozmowy z t.zw. „człowiekiem z ulicy”, przechodniem XX w. przekonujemy się, że stoi przed nami złoźnica gotów do wszelkich wykroczeń, którego cała inteligencja wyteżona jest w kierunku sprytnego omijania kryminału. Dlatego każdy pogląd polityczny propagujący łupiestwo i rozbój ma w naszych czasach szansę, koniunkturę. Ta powszechna degrengolada jest wielokierunkowa i rozprzestrzenia się drogą wzajemnego oddziaływania. Jakże skutecznie deprawuje człowieka rząd, państwo, które z przykładowym cynizmem dokonuje notorycznych przestępstw, zwykłych i niezwykłych zbrodni i w sprytnie spreparowanych komunikatach kokietuje obywatela bezkarnością, cwaniactwem. A skoro „jednostka nie ma obowiązku być cnotliwsza niż cały naród” — jak mówi Balzak — podejrzewamy, że nasze oburzenie z powodu okrucieństw i gwałtów, których dokonali Niemcy, jest po prostu nieszczerze. W każdym razie jest w tym oburzeniu dużo dla Niemców podziwu.

Na rzeczywistość dzisiejszego świata składa się zespół warunków który tworzy idealną wylęgarnię ludzkiej bestii. Niewiele zaś z tego co podnosi człowieka mieści się w ustrojowych i obyczajowych formach nowoczesnej zbiorowości. Od religii siły do królestwa śmierci na ziemi prowadzi krótka i nieunikniona droga.

Życie to znaczy — wolny człowiek. Wolny od lęków z powodu otoczenia i absolutnie wolny od głodu.

Dzisiejsza Europa jest dziełem naszej czworonożnej przeszłości; dziełem obłąkanych ze strachu — nędzarzy.

KSIĄŻKI I LUDZIE  
WSPOMNIENIA Z MINIONYCH LAT

(ciąg dalszy)

Gdzieś w latach 1905-1906 do tych starszych dołączyła się od razu nasza młodsza gromadka równolatków, lub prawie równolatków, głównie polonistów i historyków.

Na czele kroczy tu Juliusz Kleiner. Od pierwszej chwili swego pojawienia się na seminariach Kallenbacha i Bruchnałskiego wybił się przed innych polonistów. Zadziwił nadzwyczajnymi zdolnościami, wszechstronnym wykształceniem, imponującą pamięcią, wymową. Wszystko zawsze mówił na pamięć, nie posługując się nigdy notatkami. Świetnie improwizował formalne wykłady w dyskusjach seminaryjnych. Takiego studenta pierwszego roku w uniwersytecie lwowskim chyba od dawna nie widziano już. Prawda, trudno się było z początku przyzwyczaić do jego wymowy: do jej gładkości i kunsztownej okrągłości, do tylko jemu właściwego modulowania głosu i sposobu akcentowania fraz, do ledwie dostrzegalnego seplenienia, które przewyciężał, jak Demostenes. Podśmiewała się zrazu brać polonistyczna z tych oracyj. Inni zazdrościli. Ale rzetelne, głębokie wartości talentu Kleinera, a przy tym jego niezwykła uprzejmość i dobroć koleżeńska, połączona z brakiem jakiegokolwiek zakłamania, a nawet z pewną nieporadnością i naiwnością życiową ukochanego „maminego synka” — zjednały mu serca wszystkich. Ani spotrzegliśmy się, jak wyrósł na pierwszego luminarza wśród studentów polonistyki.

Mogło z nim na seminariach rywalizować tylko niewielu. Najpierw jego najbliższy przyjaciel Zygmunt Matkowski, wytworny, szlachetny w każdym calu, jakby zabłąkany w ten świat z innej epoki; niezwykle utalentowany polonista i romanista, przedwcześnie tragicznie zmarły po tamtej wojnie; drugi — to Stanisław Kot, przemiły, wiecznie rozpolitykowany socjalista, o wielkim uroku osobistym, głowa pierwszorzędną, już wtedy zaprzątnięta problemami polskiego renesansu i reformacji; trzeci: Ernest Knobloch, o niesamowitym obliczu, ideowy ludowiec, zgłębiający Schellinga, Hegla i naszych romantyków, już wówczas stający na pograniczu genialności i obłąkania, które go w końcu porwało w swe ciemnie. Ale najbardziej ucierał się z Kleinerem w seminariach ten czwarty: Tadeusz Dąbrowski, niezapomniany „Tadzio”, tak wcześnie zmarły na ukrywającą się przez lata gruźlicę; niepospolity umysł badawczy i krytyczny, analityk wzorowy, wiecznie szukający i odkrywający nowe prawdy, obalający utrwalone fałsze; wynalazca stu ciekawych tematów, z których opracowywał jeden; autor tytułów i dokładnych dyspozycji do nienapisanych przez siebie książek; ironista i Zoil nielitościwy, uśmiechający się wesoło do życia wieczny pesymista. Polemiki Dąbrowskiego z Kleinerem bywały ważnymi wypadkami na posiedzeniach seminaryjnych i zebraniach Kółek Polonistycznych (było ich aż dwa); szanowali się poza tym nawzajem i żyli w przykładowej zgodzie. Czyż można zresztą było z „Julciem” żyć w niezgodzie? Z człowiekiem, który w bliżnim widział zawsze tylko dobre strony i zalety, a nie dostrzegał wad? A jeśli i dostrzegał, to usprawiedliwiał je przed samym sobą i prawdziwie po chrześcijańsku wybaczał...

Do Ossolineum wszedł Juliusz Kleiner już w swej młodzieńczej glorii. Stypendystą był wzorowym, zdolnościami i wiedzą podbijał przełożonych; tylko kaligrafem nigdy nie był i chyba żadnej kartki jego pióra nie ma dzisiaj w pudłach katalogowych. My, koledzy, lubiliśmy go serdecznie. Wprawdzie dworowano sobie żartobliwie z jego „starokawalerskich” przyzwyczajzeń: z nadmiernej dbałości o zdrowie, z sławnego płaszcza i parasola w pogodne, ciepłe dni, z kaloszy na suszę, z niemówienia do kolegów na ulicy, gdy powiewał chłodniejszy nieco wiaterek, z niewitania się z zakatarzonymi itp.; wprawdzie Zaleski „naciągał go” nieraz (niewinnego, jak anioł) aluzjami do różnych „dziewczynek”, wywołując niefalszowane rumieńce, a złośliwy na chłodno Stanisław Wasylewski, kolega szkolny Kleinera, potrafił dopiec mu konceptem, a nawet wierszykiem. Cóż z tego, jeśli najzaciewniejszy Julek rozbrajał wszystkich swoim dobrym, prawie dziecięcym uśmiechem, nieporadnym bronieniem się przed złośliwościami albo dowcipem, w którym ani za grosz nie było potrzebnego jadu.

Żył ze wszystkimi w najlepszych stosunkach, radził i pomagał w czym mógł, o ile nie śpieszył się do swoich, poważnie już zakrojonych studiów nad Słowackim i Krasieńskim. Obaj z Tadeuszem Dąbrowskim przesiadywali (każdy z osobna) nad skarbem Ossolineum, autografami Słowackiego. Zresztą Kleiner wyprzedził nas wszystkich w piórze, w publikowaniu: ogłaszał w „Pamiętniku Literackim” i w czasopismach literackich pierwsze swoje rozprawy, artykuły i recenzje. Gotowała się już jego głośna recenzja z wydania dzieł Słowackiego przez Gubrynowicza i Hahna, prolegomena do późniejszych prac nad twórcą „Króla Ducha”.

(Z kolei następował w pamiętniku moim obszerny ustęp o Stanisławie Wasylewskim, który w owych czasach był także stypendystą Ossolineum, i to jednym z najwybitniejszych, a już w tak młodym wieku stawał na rozdrożu między pracą a zamiłowaniem literata i malarza minionych epok obyczaju polskiego. Ustęp ten zostaje pominięty. O przyczynie nie ma się co rozpisywać. Zresztą sam Wasylewski przedstawił dokładnie te ossolińskie lata swej młodości w książce pt. „Niezapisany stan służby”, wydanej krótko przed wojną).

Kleiner, Koller, Wasylewski, Czapczyński, Wierczyński, Witold Bełza — a obok nas stale dochodzący do Pracowni Tadeusz Dąbrowski, Adam Skwarczyński, Zygmunt Matkowski — toż to cały komitet literacki. Nic więc niezwykłego w tym, że w pokojach Ossolineum rodziły się różne akademickie przedsięwzięcia literackie, że tu powstawała okazała księga lwowska „Koła Polonistów”, poświęcona w setne gody Słowackiego „Rycerzowi napowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy”, że tu rodziły się nieraz jednodniówki studenckie i wymyślane przez Dąbrowskiego pisma (np. Krótkotrwałe „Hasła”), że tu, wtedy, w tchnieniu wiosny naszego życia, wystrzeliła niejedna myśl, która po latach miała się przemienić w poważne dzieło, czy pożyteczną rozprawę.

Każdy z stypendystów Ossolineum przykładał się wtedy do pracy i nauki właściwą swym upodobaniom cegiełką. Stefan Vrtel-Wierczyński, dzisiejszy dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie i docent polonistyki, cichutki, małomówny, najlepszego serca kolega i wzorowy stypendysta, interesował się już wówczas przede wszystkim bibliografią i bibliotekarstwem, a obok tego literaturą średniowieczną i slawistyką. W kweren-

dach bibliograficznych, w szarym trudzie gromadzenia na karteczkach materiałów bibliograficznych nikt go doprawdy nie mógł prześcignąć. Blady, anemiczny, z wąsko ściągniętymi ustami, ślęczał nad tym i ślęczał z prawdziwym zamiłowaniem. Pracował także jak Wasylewski i ja nad Bibliografią literacką dla „Pamiętnika”, tylko zapewne sumiennie od nas. Uchodził za tego filologa-językoznawcę. Szedł śladem medievalnych umiłowców Bruchnalskiego; studiował u Kryńskiego, a może i u Blatta, Leciejewskiego, Krćeka? W seminarium „Bruchnały” dorównywał mu w językowo-gramatycznej eksperjencji tylko świetnie się zapowiadający, ugrzęzły potem w gimnazjalnym kieracie, Marian Stećków, pedagog-entuzjasta, dziwak-idealista, męczeńsko zmarły we Lwowie w początkach 1941 roku.

Jeśli najzajacniejszemu Stefkowi Wierczyńskiemu śnił się już wtedy św. Aleksy (o którego „Legendzie” tak piękną monografię niedawno wydał), jeśli pociągały go, w krwi własnej ugruntowane pokrewieństwa językowe-polsko-czeskie i problemy słowianoznawcze — to grubawy, rumiany z bujną blond czupryną Witold Bełza lgnął wyłącznie do literatury. Syn Stanisława Bełzy, adwokata warszawskiego, a zarazem znanego podróżnika i autora ciekawych opisów tych podróży, bratanek lwowskiego Władysława Bełzy, wyniósł z atmosfery rodzinnej — jak już wspomniano, — głęboki kult dla Mickiewicza, którego Bełzowie uważali jak gdyby za swego patrona. Sam zajmował się atoli Słowackim i w księdze „Cieniom Słowackiego” pomieścił wtedy rozprawkę o jego „Żmii”, zdaje się pierwszy drukowany piód swego pióra. W Ossolineum, przez stryja, należał niejako do rodziny. Miły był zresztą chłopiec, dobry towarzysz, interesował się teatrem, a nade wszystko muzyką; niejedną przyjemną chwilę spędziłem w jego ładnym mieszkaniu przy ul. Lelewela 10, słuchając Chopina, którego grał doskonale. Zawsze zasadzaliśmy go do fortepianu. Mieszkał tam wtedy ze studentem polonistyki Emanuelem Łozińskim, znanym później dygnitarzem warszawskiego T.N.S.W. i ruchliwym pedagogiem, bawiącym się za młodu w arbitra elegantiarum. Obaj byli straszliwymi pedantami i na ten temat dochodziło nieraz między nimi do sprzeczek. Ale za to w mieszkaniu było jak w pudełku. Ileż to dowcipów urodziło się na naszych koleżeńskich spotkaniach u Bełzy, dowcipów trafiających nieraz w samych gospodarzy. Wtedy Witold niby to irytował się (co mu zawsze łatwo przychodziło) i przemawiał podniesionym, wyrazistym głosem z charakterystycznym podkreśleniem niektórych zwrotów. Przypominał wówczas naszego starego Władysława Bełzę w chwili udzielania zaliczek stypendystom. W Ossolineum pracował lat dziesięć bez mała najpierw jako asystent, potem jako skryptor. Toteż Biblioteka Miejska w Bydgoszczy zyskała po latach w jego osobie doskonale przygotowanego dyrektora.

Ważną osobą w zespole stypendystów był Mieczysław Treter, chociaż nie należał do młodzieńców, wypychających się ambicyjnie. Spokojny, zrównoważony, małomówny brunecik, z nieodstępnym uśmieszkiem na ustach, studiował z zapałem historię sztuki u prawdziwie renesansowego profesora BołozAntoniewicza, nie stroniąc zresztą od filozofii, polonistyki, etnografii. Był nawet jakiś czas przewodniczącym „Kółka Literackiego” Czytelni Akademickiej. Bo młodzież akademicka w początkach naszego stulecia nie schodziła od razu do specjalizacji i wyłączności, jak później; nie traktowała nauki uniwersyteckiej z punktu widzenia jedynie „chlebowego”. Było stanowczo więcej

idealizmu i zainteresowania dla różnych działów wiedzy. Treter wybrał przedmiot „nie chlebowy”, do którego miał głębokie zamiłowanie; może i mógł sobie na to pozwolić prędzej od innych „głodnych akademików”. Zajęty był w Muzeum Lubomirskich, którego kierownictwo przypadło mu po latach w udziale. Wtedy pracował tam pod Gubrynowiczem. Sztuce i muzealnictwu poświęcił się rzetelnie. Nie wsiadał od razu na wielkiego konia. Opracowywał szereg katalogów wystaw lwowskich (wystawa dawnych mistrzów, wystawa Pautscha, wystawa nowoczesnego malarstwa polskiego w Galerii miejskiej, wystawa miniatur i sylwet); jedna z takich wystaw była nawet ściślej związana z Ossolineum, bo urządziła ją na jakiś dobroczynny cel Eleonora Lubomirska, małżonka kuratora, i Treter miał lwi udział w montowaniu imprezy. Owocem jego pracy był również pierwszy przewodnik po Muzeum Lubomirskich. Ale rzeczy te pojawiły się dopiero w latach nieco późniejszych (1902-1912), gdy Treter był już zaawansowany w swojej specjalności.

Za moich czasów przebywał jeszcze na pograniczu ludoznawstwa, polonistyki i sztuki. Układał i ogłosił solidnie opracowany „Przegląd” treści 10 roczników (1895-1904) „Ludu”, lwowskiego czasopisma etnograficznego, redagowanego przez Bruchnalskiego, a więc znów związanego z „Ossolineum”. Pisywał do „Ludu” np. o szopkach niemieckich, zachowanych w Monachium, o typach ludowych Fr. Tepy, czy na inne tematy. To znów Słowackiemu, który obchodził w tych latach swój wielki ideowy renesans, szczególnie wśród młodzieży, poświęcił cenne rozprawki: o „Pamiętkach po Słowackim w Muzeum Lubomirskich” i o „Przyjacielu Słowackiego malarzu Wojciechu Stattlerze”. Czyż mogło być inaczej? Nad „Muzeum” mieszkał przecież stary pan Małecki, a najcenniejszy skarb po Słowackim, rękopisy jego dzieł, spoczywały w cymeliach Ossolineum.

Uważaliśmy Mieczysława Tretera za największego augura „od sztuki” wśród nas; ba, za większego znawcę od samego kustosa Muzeum, bo Gubrynowicz był przede wszystkim polonistą. Z przyjemnością słuchało się jego uwag na te tematy; nigdy się zresztą z nimi nie narzucał; mówił spokojnie, oszczędnie, z uśmiechem, nieraz dowcipkując; widziało się jednak, że z tego lwowskiego dziecka wyrośnie kiedyś porządny historyk sztuki. Przeniósł się później do Warszawy, zajmując coraz poważniejsze stanowiska. Nie zerwał jednak autor prac o Matejce, Dunikowskim, Wyczółkowskim, Grottgerze i Muzealnictwie swoich starych węzłów ze Lwowem i Ossolineum. Ex-stypendysta Wasylewski napisał kiedyś ex-stypendystcie Treterowi przedmowę do „Sylwetek portretowych z czasów Stanisława Augusta”. Dwaj lwowianie zeszli się na dworze króla Stasia. Nie było to wszakże ze strony Tretera jedyne nawiązanie do czasów naszej górnej ossolińskiej młodości.

Mógłby ktoś pomyśleć, że w naszej grupie młodych stypendystów Ossolineum z lat 1904-1908 wiedli rej sami tylko poloniści. Tak nieprzystojnie długo zatrzymało się pióro byłego polonisty wśród swoich najbliższych. Tymczasem pracę dla Zakładu Narodowego i pierwsze młodzieńcze laury naukowo-literackie dzielili poloniści z innymi fachowcami. Niezawsze ten fach był jednak łatwym do określenia. Np. arcyopilny kolega nasz, siedzący jak mól w książkach, J ó z e f L e w i c k i był i historykiem i polonistą, a przede wszystkim Elsem, zapatrzonym w jeżdżającego nieraz do Lwowa Wincentego Lutosławskiego. Chudy, o ściągłej twarzy, z wypiekami na policzkach, z czarnym

wąsem i bródką, nie pijący — nie palący, nie kochający się, wyglądał naprawdę na ascetę. Chociaż bujał w krainie ideału i żył przeważnie w gronie wtajemniczonych, polubiliśmy go, może właśnie dlatego, że był taki inny. Zresztą i z niego trysła czasem młodość w wesołym śmiechu. Właściwie już wtedy formował się w nim późniejszy Lewicki: urodzony pedagog, wielbiciel polskich narodowych tradycji wychowawczych, badacz dziejów Komisji Edukacyjnej. Na zbiorach Ossolineum — zdaje mi się — oparła się w dużej mierze jedna z pierwszych prac Lewickiego, bardzo cenna Bibliografia Komisji Edukacji Narodowej.

Przy Czarniku, w przeciwległym ode mnie kącie, przy lewym oknie, rysowała się nad biurkiem elegancka sylwetka bardzo przystojnego chłopca, ubierającego się z wyszukaną starannością, wytwornego (nawet do przesady) w każdym geście. To Jan Pięta k, prawnik, bratanek byłego ministra Galicji, profesora Leonarda Piętaka. Nie śniło nam się, że ten gładki elegancik, chodzący w niebieskawych lub zielonkawych garniturach, dobierający najładniejsze krawaty i chusteczki — to przyszły prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego odrodzonej Rzeczypospolitej, jeden z najtęższych naszych jurystów. Zmarł niedawno, przedwcześnie, a życie dając mu wysoką i zaszczytną karierę, nie szczędziło mu ciężkich osobistych ciosów.

Młody Jaś Piętak pachniał nam „złotą młodzieżą” i salonami dygnitarzy, lecz pociągał nasze serca pięknym charakterem, koleżeńskością i brakiem jakichkolwiek fum wobec zapracowanych i rozwichrzonych filozofów. Bo trzeba wiedzieć, że młodzi prawnicy za austriackich czasów patrzyli na filozofów często z góry; byli zwykle zamożniejsi, ścieliła się przed nimi można urzędowa kariera i bogaty ożenek. Czy nie dosyć? A chociaż pracy naukowej w olbrzymiej większości ani powąchali i „naukowiec” należał u nich wtedy do wyjątków, przecież szarej braci filozoficznej nie mieli w respekcie. Jan Piętak odbijał pod tym względem dodatnio, może i dlatego, że uczonego profesora miał w najbliższej rodzinie.

A cóż dopiero mówić o drugim naszym prawniku, małym cichutkim Antonim Kormanie, także podwładnym Czarnika, który nikomu wody nie zamącił, pracował jak pszczołka i do wszystkich uprzejmie się uśmiechał. Radbym wiedzieć, co się z nim później stało...

Ale prawnicy, którzy do końca XIX w. stanowili większość wśród stypendystów Ossolineum, za naszych czasów trafiali się już w Zakładzie Narodowym rzadko. Filozofia przemagała bezapelacyjnie. Skromne stypendium i bibliotekarska praca nie nęciły zresztą przyszłych radców i adwokatów.

Wracajmy więc do filozoficznej gwardii!

Dziś jeszcze, rozglądając się po pokoju katalogowym, widzę z całą plastyką pętającego się po nim młodego Emila Kipę. Emil, pamiętasz? Rogata to była, a czasem dokuczliwa jucha, chociaż niepozorna. Bładolicy blondynek o jasno niebieskich oczach, raz udający wielką powagę i cedzący powoli sentencjonalne uwagi, to znowu żywy, jak fryga, ciskający się, podskakujący ze śmiechem po sali, gdy mu się na to zebrało. Kętrzyński lubił go, choć nieraz przekreślał (nieumyślnie) jego nazwisko:

— „Panie P i k a, pójdź Pan tutaj. Poszukaj mi Pan tych kilku książek”.

Emil był zaprzysięgłym Askenazowcem. Tylko Szymon Askenazy nazywał się u niego „profesorem”, innych wymieniało się po nazwisku (Finkel, Dembiński itd.). Tylko praca u As-

kenazego była szczęściem i rozkoszą, i naturalnie miała największą wartość. Był to zresztą czar, rzucony przez znakomitego historyka czasów najnowszych na całą jego lwowską szkołę. Byliby się dali za niego porąbać; prawdziwi wyznawcy. Stanowili wśród filozofów pewnego rodzaju sektę, schodzącą się u swego profesora, odprowadzającą go do domu, notującą z nabożeństwem każde jego słówko na wieczornych wykładach w III sali przy ul. św. Mikołaja. Drugą podobną sektę tworzyliśmy chyba my „Bruchnalszczycy”, tylko że bez ceremoniału Askenazowców.

Kipa pracował wtedy nad znanym politykiem austriackim napoleońskich czasów, szarą eminencją Kongresu Wiedeńskiego, Fryderykiem Gentzem, i jego stosunkiem do Polski. Usta miał stale pełne tego Gentza, o Gentzu opowiadał wszystkim (tak jak o Janie Zamoyskim), cień Gentza nie odstępował go ani na krok. Stopniowo przyzwyczailiśmy się do tego, tak jakby arcsprytny publicysta Gentz był także stypendystą Ossolineum. Było to u młodego historyka objawem głębokiego przywiązania do tematu; niemniej jednak nie obywało się bez docinków i żartów w stronę bladolicego Kipy.

— Cóż tam słyhać z Gentzem? Czy spał dzisiaj dobrze? — witał rano wchodzącego Kipę któryś z kolegów.

— Servus Gentz! — wołał ktoś inny, ściskając dłoń przyszłego monografisty Gentza.

Wtedy Emil odpowiadał takiemu nieraz coś z grubsza, po lwowsku. Kipa pracował zresztą nad tym swoim Gentzem solidnie i niebawem wydrukował ładną książkę. Chociaż zawzięty historyk, żył blisko z polonistami, którzy w ogóle utrzymywali z historią serdeczne stosunki. Należał też do najbliższej naszej grupki (już posaossolińskiej), złączonej wspólnymi przekonaniem politycznymi i wspólnym spędzaniem wielu godzin; z polonistów grał w niej pierwsze skrzypce Tadeusz Dąbrowski, z historyków ustylizowany na księcia Józefa Poniatowskiego, Kazimierz Hartleb. Uczyliśmy się razem, politykowali zawzięcie, bawili i kochali się razem. Przy jednym stoliku oglądała nas późnym popołudniem, po wykładach, słynna niegdys „Kawiarnia Kryształowa („Kryształka”) w Pasażu Mikolascha, jedną rozdyskutowaną a czasem i rozspiewaną gromadką błąkaliśmy się w księżycowe, letnie noce po Parku, jakby to świat przebudować na lepszy.

Poszedł potem Emil Kipa uczyć do gimnazjum; pracował naukowo niemało, opublikował niejedną cenną pracę i recenzję; kontaktu z nauką nie zerwał właściwie nigdy, chociaż po przeniesieniu się do Warszawy poszedł do dyplomacji. Przed wojną był polskim konsulem w Hamburgu.

Do stypendystów-historyków należał również mały, ruchliwy August Paszkudzi, zwany pospolicie „Guciem”. Dostał się do Ossolineum przez Hirschberga, z którym rodzina jego żyła w zażyłej przyjaźni. Nie potrzebował zresztą protekcji. Był zawsze bardzo zdolny, miał masę wiadomości, bystry umysł — zapowiadał się na tęgiego naukowca, chyba o uniwersyteckich aspiracjach. Spiczasty blondynek, krótkowzroczny, z przedwcześnie formującą się nad mądrym czołem łysinką, grzebał się w katalogu kartkowym, pilnie szukając zamówionych do pracowni czy wypożyczalni książek. Kiedy zaś, zdjąwszy cwikier popatrzył zamglonymi oczyma i zaczął powoli dyskutować, miał zawsze własne zdanie o wszystkim.

d.c.n.



# LITERATURA SZTUKA I NAUKA W ANGLII

|    |  |     |
|----|--|-----|
| 3. | Literatura czy Nauka .. .. .           | 431 |
|    | Materia, Forma, Ewolucja i My .. .. .  | 434 |
|    | Z Laboratorium National Gallery.. .. . | 444 |
|    | Wyciąg z Bibliografii .. .. .          | 446 |

## LITERATURA CZY NAUKA

### BANKRUCTWO POWIEŚCI WOJENNYCH

„Dlaczego literatura nie zapobiegła wojnie?”—zastanawia się HERBERT READ, poeta, krytyk i historyk sztuki, filozof i wydawca, w swym essayu *THE FAILURES OF THE WAR BOOKS* —(READ, HERBERT. „A COAT OF MANY COLOURS—OCCASIONAL ESSAYS”, 352 str., Routledge, 1945):

„Młodzi pisarze, którzy brali udział w ostatniej wojnie, wrócili z jednym pragnieniem: powiedzieć prawdę o wojnie, ujawnić jej okropności, jej nieludzkość, jej „niegodność.” Wiedzieli że nie ma co płakać nad rozlaną krwią, że nie dobrze jest pocieszać, siebie samych czy też swoich współczesnych. To co mogli uczynić to ostrzec nadchodzące pokolenie. „Wszystko co poeta może uczynić dzisiaj,” pisał WILFRED OWEN, „— to ostrzec. Oto dlaczego prawdziwi Poeci muszą być prawdomówni.”

Parę lat minęło nim nowe pokolenie podrosło i uświadomiło sobie co to takiego wojna. W międzyczasie nie było publiczności która by chciała czytać poezje wojenne czy opowiadania wojenne. Między r. 1918 i 1928 prawie że niemożliwe było opublikowanie czegoś realistycznego o wojnie. Potem nastąpiła reakcja. Zaczęła się powoli, z chwilą kiedy REMARQUE napisał „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN.” REMARQUE, podobnie jak OWEN, chciał ostrzec nowe pokolenie. Ostrzegł je: tego samego dokonał film, oparty na jego książce. Tego samego dokonały tuziny książek jakie napłynęły po powieści REMARQUE’a, która szybko stała się najpopularniejszą książką naszych czasów.

Z początku wydawało się że ostrzeżenie to odniosło skutek. Po zalewie literaturą anty-wojenną odbyła się w Oxford Union sławna dyskusja w której olbrzymia większość studentów oświadczyła, że w żadnych okolicznościach nie weźmie broni do ręki. Powstał Peace Pledge Union i liczba jego członków wzrosła do setek tysięcy.

Wydawało się więc, że ostrzeżenie nasze odniosło skutek, od początku jednak było coś podejrzanego w tym młodocianym pacyfizmie. Opierał się na negacji, podczas gdy prawdziwa wiara zawsze jest pozytywna i afirmatywna. Co więcej, negacja ta była negowaniem abstrakcji — wojny. Wojna, dzięki książkom wojennym, stała żywo w wyobraźni owych młodych ludzi jako koszmar i bezsensowne zabijanie. Rzeczywistością jednak wojna staje się dzięki psychologicznym i ekonomicznym czynnikom, i bez pożytku jest protestować przeciwko wojnie, jeśli jednocześnie nie rozumie się jak funkcjonują owe czynniki podstawowe i jeśli nie czyni się próby kontrolowania ich.

Zrozumienia tych rzeczy nie było jednak. Czynniki owe nabrały impetu, — i w dziesięć lat po wydaniu „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN” znaleźliśmy się w nowej wojnie. Książki nasze stworzyły może jeszcze paru ‚conscientious objectors,’ ale ich właściwe zadanie — zapobiec nowej wojnie — zbankrutowało.

Szukając przyczyn tego bankructwa łatwo jest być mądrym po szkodzie i powiedzieć, że książki nasze nie były dostatecznie dobre. Mówi się na przykład, że „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN” jest książką sentymentalną. Do pewnego stopnia jest to słuszne. Jeśli chodzi o jej skuteczność jednak, sentymentalizm nie był zawadą. „CHATA WUJA TOMA” była bardziej sentymentalną książką od „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN.” I właśnie dlatego stała się skutecznym narzędziem w doprowadzeniu do jednej z największych reform w historii ludzkości — zniesienia niewolnictwa. Zniesienie wojny jest, bez wątpienia, większym zadaniem. Jeśli jednak książki odegrają swą rolę w dokonaniu tego zadania, będą to książki co najmniej tak sentymentalne jak „NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN.”

Trzeba nam szukać głębiej przyczyn tego bankructwa. Sądzę że znaleźć można je w owym impulsie, który w przybliżeniu nazywamy sadyzmem, który jednak jest na pewno czymś ogólniejszym niż forma zboczenia seksualnego. Jakbyśmy to nie nazwali, pozostaje fakt, że człowiek lubi poświęcanie się za innych i gwałtowność. Od wczesnego dzieciństwa lubujemy się w opowiadaniach pełnych walk i rozlewu krwi, i wydaje się, że każdy nasz wysiłek, zmierzający do wykorzenienia tego rodzaju zainteresowań u dzieci, doprowadza tylko do wytworzenia w nich kompleksów zastępczych, których rodzaj jest tak samo nieprzyjemny. Pisząc nasze książki wojenne, celebrowaliśmy nieświadomie tę właśnie ukrytą żądzę. Ja sam zaskoczony byłem tym faktem, że jeden i jedyny z moich wierszy wojennych cytowany był na lewo i na prawo po antologiach i pismach — prosty lecz bardzo gorzki i straszny wiersz pod tytułem „THE HAPPY WARRIOR.” Pewien jestem, że z literackiego punktu widzenia wcale nie jest on moim najlepszym wierszem wojennym, fascynował jednak przeraźliwie wielu ludzi. Wyrażał on okropności wojny i powinien był, wraz z innymi wierszami i opowiadaniem tego samego rodzaju, stać się skutecznym ostrzeżeniem.

Podejrzenie narasta we mnie teraz, że tego rodzaju pisanie było tylko paliwem podsycającym ukryte płomienie ducha wojny. Jeśli my, istoty ludzkie, nosimy w sobie niezniszczalną potrzebę niszczenia, włączając w to potrzebę niszczenia siebie samego, to imaginacja nasza karmić się będzie łakomie każdym żywszym opisem procesu destrukcji. Wojna to nie jest duch, którego da się wygonić taką czy inną formą egzorcyzmów. To jest impuls który musi być wykorzeniony przy pomocy całego szeregu cierpliwych zabiegów.

Zabiegi te będą częściowo społeczne, częściowo zaś psychologiczne. Znaczy to, że niezbędne zabiegi psychologiczne nie mogą być dokonane w obecnym porządku społecznym, w porządku społecznym który czyni wszystko by podsycać impulsy współzawodnicstwa i siły. Dokonać tych zabiegów psychologicznych można by tylko w społeczeństwie opartym na impulsach wzajemnej pomocy i usługi — tylko w takim porządku społecznym w którym wszystkie tendencje skierowane są przeciwko rywalizacjom i dominowaniu grup czy indywidualów. Gdyby tendencje takie, które bynajmniej nie są przeciwne naturze, mogły być ustanowione, wtedy dopiero moglibyśmy mieć nadzieję że uda nam się ów impuls zniszczenia wykorzenić i stworzyć inne możliwości dla wyładowania utajonych energii psychicznych ludzkości.

Nie niedoceniam potęgi propagandy, czy to w formie książek, czy pism, czy słowa mówionego. Jeśli znajdzie się w rękach pojedynczego scentralizowanego autorytetu, potrafi ulepić opinię mas w kształt prawie każdej wiary. Uczynić może ona prawie wszystko, ale nie może zmienić natury ludzkiej. Nie może zmienić podstawowych instynktów ludzi, i dlatego właśnie jednolitość jaką wytwarza pozostaje niepewna, niczym fasada ze sztukaterii, za którą nie ma ścian. Naturę ludzką zmienić może tylko środowisko, genetyka i inne długo-okresowe czynniki fizyczne. Jeśli chcemy uczynić człowieka bardziej pokój-miłującym zwierzęciem, musimy wprawdzie stworzyć właściwy rodzaj społecznej formy odlewniczej, właściwy rodzaj życia rodzinnego, właściwy rodzaj wychowania: i wszystkie te rzeczy muszą na skalę światową być wykonane, albowiem pokój musi być powszechny.

Musimy w dalszym ciągu mówić prawdę o wojnie, tak samo jak o wszystkich innych zeczach. Lecz to mówienie nasze wyznaniem być musi wstydu i bankructwa. Po drugiej wojnie światowej albo zginiemy jako cywilizacja albo też nowe pokolenie nową stworzy literaturę. Nie literaturę reportażu, nie literaturę dumy z tego cośmy przeszli, nie literaturę poświęceń i cierpień za innych. Lecz literaturę konstruktywnej wyobraźni, idealizmu społecznego, pozytywnej moralności. Uczyc się doświadczając — to metoda zwierząt. O tyle o ile mamy nadzieję, że jesteśmy czymś więcej niż zwierzę, uczyc się musimy w sposób który jest czymś więcej niż biernym doświadczaniem — za pomocą maginacyjnego eksperymentu musimy się uczyć.”

„Dlaczego literatura nie zapobiegła wojnie?” Odpowiedź HERBERTA READA brzmiałaby w parosłownej interpretacji tak: „Ponieważ chciała dokonać pewnych zmian psychologicznych nie dotykając istniejącego porządku społecznego, podczas gdy należało utworzyć nowy porządek społeczny, aby w nim mogły się dokonać pewne zmiany psychologiczne”.

Wydaje się, że dziś, po drugiej wojnie światowej, czytelnik zdaje sobie z tego sprawę i zwraca się raczej do naukowców a nie do pisarzy po odpowiedź na dręczące go zagadnienia (porówn. „Cyfrowy obraz produkcji wydawniczej w Anglii,” NOWA POLSKA, Czerwiec 1946, strona 378). Po powieść sięga często, lecz wtedy kiedy chce odpocząć a nie wtedy kiedy chce się czegoś dowiedzieć. Być może że za lat 10 (tyle lat minęło od 1918 do REMARQUA) narodzi się znów nowe pokolenie które będzie chciało poznać doświadczenia poszczególnych postaci, biorących udział w drugiej wojnie światowej. Dziś jednak czytelnik pełen jest swoich własnych doświadczeń i bardziej niż opracowania powieściowego fragmentów z życia innych ludzi pragnie ukazania mu ogólnej sytuacji w takiej perspektywie, aby mógł umiejscowić sam siebie i, ewentualnie, dostrzec wyjście. Powieściopisarz, ani teolog, ani filozof nie potrafi umiejscowić czytelnika w dzisiejszym świecie gwałtownych przeobrażeń. Naukowiec potrafi go umiejscowić przynajmniej w fizycznej przestrzeni, czy w ewolucyjnym czasie, czy też po jednej lub drugiej stronie linii klasowego podziału.

Powiedzieliśmy, że czytelnik zwraca się do naukowców. Ale może jest odwrotnie. Może to właśnie naukowcy zwrócili się pierwsi do publiczności? Nie chodzi tu bowiem o t. zw. literaturę popularno-naukową, wyjaśniającą jak funkcjonuje to czy tamto; ani o literaturę filozoficzno-metafizyczną pisaną przez naukowców; to do czego dążą obecnie w swych wystąpieniach publicznych można by raczej nazwać tworzeniem naukowego spojrzenia na wszystkie dziedziny życia.

---

## LITERATURA, SZTUKA I NAUKA W ANGLII

| 1. W numerze majowym<br>„Nowej Polski“                | 2. W numerze czerwcowym<br>„Nowej Polski“  |
|---|--|
| Książka w Anglii . . . . . 305                        | Książka w Anglii . . . . . 369   |
| Sytuacja Materialna Pisarza<br>w Anglii . . . . . 306 | Co czytają w Anglii czyli<br>obraz produkcji wydawni-<br>czej w cyfrach. . . . . 378 |
| Sytuacja Materialna Poety w<br>Anglii . . . . . 307   | Książka jako sposób prze-<br>kazywania myśli . . . . . 379                           |
| Sztuka i Artyści w Anglii . . 308                     | Wydawnictwa Artystyczne . 381  |
| Teatr w Londynie . . . . . 313                        |  |
| Naukowcy w Anglii . . . . . 316                       |  |

MATERIA,  
FORMA,  
EWOLUCJA  
I MY

---

JOSEPH NEEDHAM, FRS, profesor biochemii na Uniwersytecie w Cambridge, zajmuje się głównie badaniem zjawisk chemicznych, zachodzących w czasie rozwoju organizmów zwierzęcych. Ma za sobą wiele prac doświadczalnych, np. nad oddychaniem i metabolizacją embrionów i, wraz z C. H. WADDINGTONem, nad odkrytymi w r.1918 przez SPEMANNa "organizatorami", czyli tymi znikomymi ilościami komórek, które kontrolują rozwijaniem się embrionu i które można, w pewnych wypadkach, przeszczepić z jednego jaja na drugie, otrzymując w wyniku podwójne, „syamskie,” embriony. „To że pan w ogóle posiadasz mózg—pisze C. H. WADDINGTON w artykule „Life from a New Angle” (THIS CHANGING WORLD, patrz niżej)—...zawdzięczać należy trzem bilionowym uncji „ewokatora” (za mało by pokryć tym ostrze szpilki), wydzielonego przez pański „organizator” wtedy kiedy pan byłeś w wieku minus 8½ miesięcy”. Przegląd tych wszystkich zagadnień JOSEPH NEEDHAM opublikował w 3-tomowej EMBRIOLOGII CHEMICZNEJ (CHEMICAL EMBRYOLOGY) i w ostatnio wydanej BIOCHEMII I MORFOGENEZIE (BIOCHEMISTRY AND MORPHOGENESIS). Poza tym napisał historię embriologii i szereg książek omawiających zależności zachodzące pomiędzy nauką, religią i filozofią (ORDER AND LIFE, Yale University Press; TIME THE REFRESHING RIVER, Allen & Unwin).

Artykuł J. NEEDHAM'a, który podajemy poniżej, ukazał się najpierw w miesięczniku londyńskim WORLD REVIEW, a następnie, wraz z szeregiem prac napisanych przez innych czołowych myślicieli angielskich, wszedł do książki zbiorowej THIS CHANGING WORLD (opr. J. R. M. Brumwell; 286 str., Illustr., 1944, George Routledge & Sons Ltd. 12s. 6d.), mającej dać „jasny obraz tego przejściowego okresu, przez jaki przechodzi dziś myśl nowoczesna”.

---

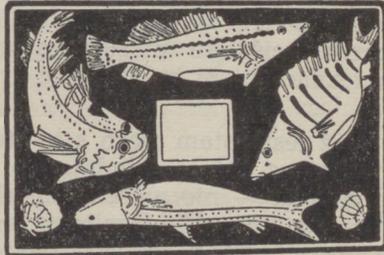
NOWOCZESNA NAUKA SIĘGA DO MATERII ŻYWEJ I JEJ  
POCZĄTKÓW — ORAZ O TYM JAK MY SAMI POJAWIAMY  
SIĘ W TYM OBRAZIE

Jedną z najmniej powszechnie uznanych rewolucyj, jakie zaszły w naszym myśleniu, jest ta która dotyczy Materii i Formy, a zatem wszystkiego co ma do czynienia z Życiem. Tu, jak w wielu innych dziedzinach, idee człowieka Cywilizacji Zachodniej

wywodzą się od Greków, głównie od ARYSTOTELESA (4 wiek przed Chr.), który miał skłonność oglądania wszystkiego wokoło w kategoriach największej sztuki greckiej: Rzeźby. Z tego punktu widzenia mieliśmy z jednej strony MATERIE: chaotyczną, jednolitą, tę samą wszędzie na wylot, jak marmur albo ser; z drugiej strony mieliśmy FORMĘ: formę, na przykład, pięknego mężczyzny i pięknej kobiety, formę która istniała przedtem w umyśle rzeźbiarza i musiała być za pomocą rzemiosła i pracy twórczej narzucona materii. Forma była więc odczuwana jako coś co jest ważniejsze niż materia, i nawet wszelkie przemiany pojmowane były jako odbieranie materii jednych zespołów form i narzucanie jej innych. Nie wydawało się co prawda możliwym istnienie form bez materii, chyba że w tych wypadkach kiedy chodziło o Bogów samych.

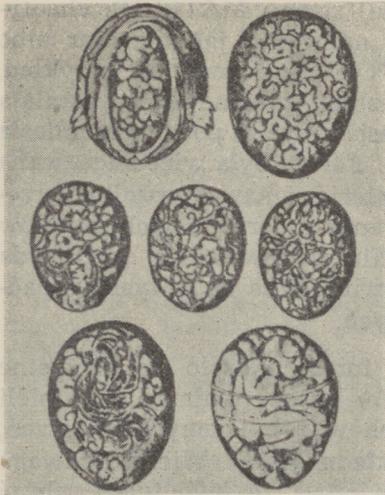
To że Grecy tyle zajmowali się formą okazało się korzystne dla biologii. Od wczesnych czasów greccy malarze waz mieli zwyczaj rysowania różnych gatunków ryb i innych stworzeń, czynili to zaś z wyszukaną dokładnością. Wielka odwaga Arystotelesa polegała na tym iż wierzył, że jeśli tylko zabrać się do rzeczy w sposób właściwy to wielki galimatias zwierzęcy i roślinny sprowadzony być może do pewnego rodzaju porządku. Pierwsi klasyfikatorzy byli ludźmi naprawdę bardzo odważnymi.

Cztery ryby morskie i dwie muszle, precyzyjnie narysowane na wykonanej płytce glinianej, wykonanej przez rzemieślnika greckiego w IV wieku przed Chr.



Stare idee dotyczące formy i materii rządziły myślą ludzką długi jeszcze czas po Grekach i po upadku Cesarstwa Rzymskiego, przez całe Średniowiecze. Jeszcze i dziś, jeśli poszukamy uważnie znaleźć je będziemy mogli w naszych myślach. To one spowodowały powstanie takich doktryn Kościoła średniowiecznego, jak przemiana chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, i to te właśnie stare idee zobaczyć możemy w dawnych pojęciach o formowaniu się embrionu w organizmie zwierzęcym. ARYSTOTELES sądził, że embrion powstaje jak posąg, że materię reprezentuje tu krew, nasienie zaś reprezentować miało ów wpływ kształtujący materię. Przejrzałem wiele średniowiecznych rękopisów, poszukując jakiegoś rysunku, który by obrazował ów proces, i jeden taki znalazłem wreszcie w WOMAN'S BOOK (Książce Kobiety, podręczniku akuszerijnym), napisanej przez JACOBa RUEFF, w r. 1554. Wszystko w tym procesie jest całkowicie wyimaginowane, warto jednak przyjrzeć się jak autor przechodzi od systemu naczyń krwionośnych rozchodzących się

promieniście od serca (na wzór krwiobiegu embrionu kurczęcia)  
— do zarysu dziecka, siedzącego niby cherub wśród obłoków.



Tworzenie się embrionu ludzkiego, według pojęć średniowiecznych; ilustracja z książki JACOBA RUEFFA, z r. 1554.

Pojęcia te zostały zburzone przez anatoma angielskiego, wielkiego WILLIAMA HARVEY'a, który otwierał macice zwierząt zabitych na polowaniu i pokazał że nic w nich nie ma. Że nic w nich nie ma, to znaczy, że nie mógł w nich nic zobaczyć, nie miał bowiem w owym roku 1640 mikroskopu, który by mu pokazał wciśnięte w ściankę maciczną maleńkie jajo, którego przeznaczeniem było rosnąć i rozwinąć się w zwierzę.

Cóż jest zatem złego z tą starą ideą materii? Dlaczego o tej materii, z której składają się rzeczy żywe, — pańska ręka, na przykład, — nie możemy myśleć jak o czymś tak prostym jak marmur lub ser? Ponieważ jest ona niewiarygodnie skomplikowana. Tryby w trybach, pokrowce w pokrowcach, fantastyczne pudło ze sztuczka. Ciało żyjące „skomponowane” jest z dziesiątków tysięcy dziesiątków tysięcy cząsteczek ostatecznych, elektronów i protonów; są one porozmieszczane i zorganizowane w sposób o wiele wyższy niż materia z której zbudowany jest posąg, i niż skomplikowany i piękny kryształ. I chodzi o to że nie ma nigdzie takiego punktu w który moglibyśmy wetknąć palec i powiedzieć: „Tu kończy się Forma a zaczyna Materia”.

Rzecz ta wymaga by rozpatrzyć ją nieco szczegółowiej. Na wierzchu mamy formy z którymi jesteśmy obcy, rozmaite kształty zwierząt i roślin, tuż pod tym poziomem zaś — rozmaite kształty narządów, które możemy wyodrębnić za pomocą naszych zwykłych, okularami nieopatrzonych oczu. Schodząc jednak do poziomu mikroskopowego stajemy już na progu zupełnie nowego świata: — pierwsi badacze spoglądający przez mikroskop, w XVII wieku, z pewnością zgadzali się z Sir THOMASEM BROWNEm: „W sobie nosimy cuda, których szukamy poza nami; w nas bytuje cała Afryka i jej tajemnice”. Tkanki i narządy ciała zbudowane są z milionów żyjących komórek, komórek

które, jak wiemy dzisiaj, posiadają dużą zdolność do indywidualnego życia po oddzieleniu ich od całości. Sięgając jeszcze

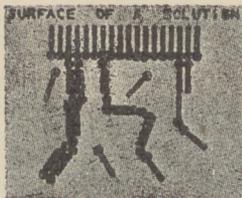
Pojedyncza żyjąca komórka w kulturze tkankowej, sfotografowana za pomocą oświetlenia przy zaciemnionym tle; złoże tłuszczowe leżą wokół jądra komórkowego. Komórka powoli porusza się w górę strony.



głębiej, znajdujemy, że każda z tych komórek zbudowana jest z jeszcze mniejszych całości, których kształt może być albo bez znaczenia, na pozór, (jak na przykład kształt kulek tłuszczowych), albo też na pewno bardzo ważny (jak na przykład kształt chromosomów w jądrze komórkowym, rządzących cechami wrodzonymi).

I tak w końcu dochodzimy do poziomu molekularnego, do poziomu w którym stanąć mamy „oko w oko” z molekułami zbudowanymi z uporządkowanych wzorków utworzonych z atomów, z których każdy jest jak gdyby miniaturowym systemem słonecznym, mającym protony i elektrony za ciała niebieskie, krążące po wyznaczonych im orbitach. To nasze przejście do poziomu molekuli i atomu jest bardzo ważne, z wielu powodów.

Po pierwsze — dopiero niedawno, stosunkowo, nabraliśmy pewności, że molekuly chemiczne posiadają swój kształt. Mniej więcej aż do końca Pierwszej Wojny Światowej niektórzy naukowcy mieli prawo twierdzić, i czynili to, że nasze „wzory” chemiczne i plany molekularne istnieją tylko w naszej wyobraźni, i że w naturze nie ma nic takiego co by było ich odpowiednikiem. Kiedy jednak HARDY w Anglii i LANGMUIR w Ameryce pchnęli naprzód badania nad „warstwami jednomolekularnymi” (błódkami tak cienkimi, że składającymi się z jednej tylko warstwy molekuł), stało się pewne że nasze wzory przedstawiają rzeczywistość. Długie łańcuchy węgłowodoru są naprawdę długie; na powierzchni wody łańcuch kwasu tłuszczowego rzeczywiście wystaje na wierzchu, podczas gdy jego grupy kwasowe „rozpuszczają się” w wodzie pod spodem. Pewność ta wzmocniła się jeszcze gdy inni uczeni (LAUE,



Szeregi i łańcuchy molekuł kwasu tłuszczowego na powierzchni roztworu.

EWALD, BRAGGowie) zastosowali promienie rentgena do tego zagadnienia i pokazali, że atomy naprawdę układają się we wzory takie, jakie wydedukowane były uprzednio za pomocą czysto chemicznych doświadczeń.

Forma, zatem, wciąż jest jeszcze z nami. Na poziomie atomu staje się ona nie do odróżnienia od tych sił, czymkolwiek by one nie były, które powodują, że wirujące grupy cząsteczek ostatecznych trzymają się razem ze sobą w ich pozornej stałości. I teraz, kiedy już doszliśmy do poziomu atomu, okazuje się, że fizyka nowoczesna znajduje iż te cząsteczki ostateczne są pierwotnymi ładunkami elektrycznymi, i że zatem masa jest manifestacją energii. Materia zostaje oczywiście tak twarda i materialna jak była w czasach gdy Dr. JOHNSON kopnął ją nogą i wyraził się o poglądach BERKELEY'a że „nie można im zaprzeczyć, ale nie mogą przekonać”. Tak czy inaczej, coś stało się z materią. W dniach dawnych oddzielona była od formy, ponieważ tak wydawało się prościej; dziś jednak zdajemy sobie sprawę z tego — — i to jest tą przemianą rewolucyjną — — że nie możemy ich oddzielić od siebie. Forma, lub raczej Organizacja, jak możemy ją teraz nazywać, obecna jest wszędzie, na wszystkich poziomach, gdziekolwiek byśmy nie spojrzeli, i jednej tylko jeszcze trzeba nam idei podstawowej — Energii. Możemy raz na zawsze przestać mówić o Formie i Materii i możemy zacząć myśleć o Organizacji i Energii.

Istnieje jeszcze jeden powód dla którego tak ważne jest to nasze przejście od poziomu największych molekuł jakie znamy do poziomu najmniejszych znanych nam cząstek żyjących: ten mianowicie, że wzajemnie zachodzą one na siebie, — i to jest jeszcze jedno rewolucyjne odkrycie ostatnich lat dwudziestu. Największymi znanymi nam molekułami są molekuły protein, niektóre z nich są wiele milionów razy cięższe od atomu wodoru, który jest tym podstawowym „ciężarkiem” naszej molekularnej wagi. Wszystkie ciała żywe zbudowane są z protein, tych najważniejszych struktur chemicznych; stanowią one specjalnie długie łańcuchy, albo też zgięte pierścienie zbudowane z atomów węgla, azotu i tlenu, tworząc jak gdyby kręgosłupy z których, jak ramiona, wyrastają łańcuchy węgla, azotu i wodoru. W ciągu ostatnich dwudziestu lat przeprowadzono bardzo intensywne badania nad tak zwanymi wirusami, które odpowiedzialne są za wiele chorób jakimi zarażają się rośliny, zwierzęta i ludzie. Choroba liścia tytoniowego, pryszczycza bydła, nasza odra to są skutki działania wirusów, tych cząsteczek żywych, tak małych że przenikają przez wszystkie filtry, mniejszych od bakterii widzianych przez mikroskop. Interesującą rzeczą jest tu jednak to, że te „żyjące” cząsteczki są mniejsze od wielu dużych „martwych” cząsteczek czy molekuł proteiny. Ich budowa musi być więc znacznie prostsza od tego co przywyczajeni jesteśmy uważać za cechę organizmów żywych.



Na tej zadziwiającej granicy tak samo trudno jest odróżnić Życie od Śmierci, jak Formę od Materii. Kiedy mówimy, że coś jest żywe? Wtedy, na ogół, jeśli to coś oddycha, jeśli porusza się samo, i, przede wszystkim, jeśli się rozmnaża. Wirusy nie poruszają się same, ale i większość roślin i bakterii nie porusza się; wątpliwym jest czy wirusy oddychają, ale bardzo wiele nasion i zarazków oddycha bardzo mało. Pewne jest jednak że rozmnażają się i to ogromnie wydajnie. Zaszczepmy roślinie niewielką ilość wirusów, a po krótkim czasie będziemy mogli wydzielić z niej olbrzymią ilość tego samego wirusa, roślina zaś w międzyczasie będzie chora i, być może, zwiotczeje, prawdopodobnie dlatego że pokarm przeznaczony dla niej wszedł w wirusy.

Tak więc mamy tu do czynienia z czymś żyjącym, a jednak mniejszym od wielu molekuł chemicznych. Nie ma ostrej granicy pomiędzy tym co żyje a tym co jest martwe. Cząsteczki wirusowe są tak małe że nie można ich oglądać za pomocą mikroskopu ani ultramikroskopu, i do niedawna jeszcze były one poza zasięgiem naszego wzroku. Ostatnio jednak zaczęto stosować nowy, na nowych zasadach oparty instrument, zwany mikroskopem elektronowym, i za jego pomocą wykonano fotografie cząsteczek molekularnych oraz fotografie wirusów. Jednej z tych fotografii warto się bliżej przyjrzeć. Cząsteczki wyglądają

Wirusy choroby mozaikowej liścia tytoniowego, sfotografowane za pomocą mikroskopu elektronowego.



na niej tak jakby miały kształt pałeczek. I teraz czeka nas nowa niespodzianka. Jeśli o cząsteczkach w kształcie pałeczek powiemy biochemikowi, zacznie on natychmiast oczekiwać pewnych raczej dziwnych rzeczy. Bowiem, podczas gdy cząsteczki podobne do maleńkich kulek skupiają się tworząc zwykle kryształy, cząsteczki w kształcie pałeczek, skupiając się, mają zwyczaj tworzenia „płynnych kryształów”. Na pierwszy rzut oka słowa „płynny kryształ” wydają się przeczyć same sobie, ponieważ kryształy z jakimi najczęściej mamy do czynienia, kryształy cukru czy sody, są na pół przezroczyste, stałe i twarde. Istnieje jednak wiele substancji chemicznych, tworzących struktury regularne, ale takie, że są one sztywne nie we wszystkich trzech kierunkach, a tylko w jednym lub w dwóch, cząsteczki ich bowiem znajdują się w rozmaitych kombinacjach chaosu i porządku. Przy ścisłaniu mogą one, na przykład, przesuwac się jedna nad drugą; układ ich może być chwilowo zakłócony przez przejście jakiegoś obcego ciała między nimi; kiedy ciało to zniknie powracają one do swej pierwotnej pozycji, niby kolumna żołnierzy rozstępująca się by przepuścić przejeżdżający samochód i zwierająca się za nim. Czasami



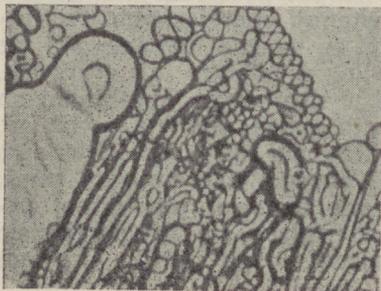
Regularny układ molekuł w płynnym kryształach. Można je zakłócić — wrócić na swoje pozycje.

kryształ, przy ogrzewaniu go, nie od razu roztapia się na płyn prawdziwy, lecz przechodzi stopniowo przez cały szereg form pośrednich, stając się, w miarę wzrostu temperatury, coraz mniej „zorientowanym”, aż wreszcie osiąga stan płynny, w którym molekuly biegną chaotycznie we wszystkie strony, niby tłum na kolejowym dworcu. Co prawda tłum na dworcu podobny jest raczej do płynnego kryształu, ruchy ludzi w tym tłumie są bowiem w pewien sposób ograniczone, mogą oni posuwać się tu i tam, ale tylko wzdłuż platform, tłum ma więc tu pewną strukturę. Gdyby ów tłum chciał imitować sztywny kryształ, musiałby zatrzymać się i to tak aby każda z osób była w odpowiedniej odległości od innych.

Wirusy mają jak gdyby specjalne upodobanie do tworzenia płynnych kryształów. Istnieje specjalny aparat optyczny dzięki któremu zobaczyć można jaskrawe błyski światła w tych miejscach w których płynne kryształy zostają zakłócone. Biochemicy, pracujący nad wirusami roślinnymi, zrobili kiedyś zabawne doświadczenie: wpuścili złotą rybkę do roztworu wirusowego i pozwolili jej pływać wokoło pod aparatem. Gdziekolwiek nie popłynęła, za ogonem jej podążały jaskrawe błyski światła, widzialne dzięki temu że płynny kryształ wirusowy został chwilowo zakłócony. Niektóre wirusy tworzyć mogą także prawdziwe, stałe kryształy. To co prawdą jest jeśli chodzi o wirusy, prawdą jest także jeśli chodzi o liczne proteiny i inne



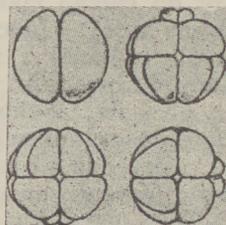
Złota rybka pływająca w słabym roztworze wirusa mozaikowej choroby liścia tytoniowego; tam gdzie płyn jest niezakłócony światło nie przechodzi przez mikroskop polaryzujący, ale za ogonem złotej rybki poruszony przez nią roztwór oświetlony jest jaskrawo.



Płynny kryształ lecytyna, tłusta substancja obecna we wszystkich komórkach żywych.

substancje, tworzące podłoże chemiczne organizmów zwierzęcych i roślinnych. Wiemy że te nitkowate molekuly i płynne kryształy występują w żywych komórkach ciała, i zanalizowaniu ich poświęca się teraz bardzo wiele pracy. To one pozwalają nam zrozumieć trochę te niezwykle cechy symetrii i polaryzacji, będące własnością form zwierzęcych i roślinnych. Jak to się dzieje, na przykład, że jajo wie który jego koniec jest którym? który jego koniec ma być w przyszłości przodem zwierzęcia a który tyłem? Jeśli przezroczyste jajo jeża morskiego poddać wirowaniu w centryfudze, rozmaite rodzaje tłuszczów i innych substancyj ułożą się w warstwy, jedna za drugą. Nie ma to jednak wpływu na przyszły jego rozwój. Nowe komórki tworzyć się zaczną dokładnie w tych samych miejscach, jak gdyby nic w nim takiego nie zaszło. „Wie” ono który koniec jest który i wcale nie jest tym zakłopotane, żeśmy w nim wszystko przemieszali w środku. Wygląda to tak jak gdyby miało ono jakąś

Upór z jakim utrzymują się osie pierwotne w jajach jeża morskiego, mimo to że substancje zawarte w jaju przetasowane zostały za pomocą wirowania w centryfudze.



„krystaliczną siatkę” wewnątrz siebie. Nie jest ono jednak, oczywiście, kryształem w zwykłym sensie, zgnieść je bowiem możemy jak miazgę. Czego trzeba nam najwięcej dla zrozumienia tych zjawisk, to wiedzy o płynnych kryształach.

Fakt, że struktury żywe zbudowane są z nitkowatych molekuł wyjaśnia bardzo wiele własności znanych nam z codziennej obserwacji, na przykład nitkowatość włosa, czy włóknistość mięśnia (mięsa). Włókna takie kurczą się mogą i rozciągać. Kurczenie się flanelowych spodni ma wiele wspólnego z kurczeniem się mięśnia. Lecz podczas gdy spodnie czy pasek gumy mają sprężystość bezwładną, sprężystość mięśnia moglibyśmy nazwać sprężystością „władną” — — i to jest podstawą wszelkiego zwierzęcego ruchu.

Jeszcze jedno. W ciągu ostatnich trzydziestu lat odkryto, że istnieje nie jeden standartowy gatunek atomu węgla a kilka, każdy z nich rozpoznajemy jako węgiel, tyle tylko że wykazują one drobne różnice w wadze. To samo dotyczy wielu innych pierwiastków, takich jak azot lub wodór. Niezależnie od tego jakie znaczenie odkrycie to ma dla fizyki, biologom dało ono do ręki sposób wysledzenia jak atomy zachowują się po wprowadzeniu ich do organizmu żywego. Stwierdzono na przykład, że łoża szczołowej smółki już w parę minut po wprowadzeniu ich do organizmu, wchodzą w struktury proteinowe mózgu i mięśni. I otóż ta szybka wymiana nie zachodzi pomiędzy atomami i „nieżywą” proteiną, oddzieloną od żywego ciała. Znaczy-

łoby to że w żywym ciele ustawicznie dzieje się tak, że jedne atomy „wychodzą” z molekuł których są częścią, inne zaś „wchodzą” na ich miejsce. Ogólny zarys ciała jest jednak całkowicie utrzymany w czasie tej niekończącej się wymiany atomów. Ta nisko, na płaszczyźnie molekularnej odbywająca się, „współpraca”, przypomina nam współpracę indywidualów ludzkich usiłujących utrzymać ogólny zarys społeczności.

Myśl ta nasuwa mi pewne ogólne wnioski. To że stare rozróżnianie pomiędzy Formą i Materią poszło sobie i że nowa współpraca Organizacji i Energii nadeszła — to jest istotnie rewolucja. Jest tu jednak jeszcze coś więcej do powiedzenia.

Analizując ciało żywe idziemy od ostatecznych cząsteczek, protonów i elektronów, do atomów, od atomów do molekuł, od molekuł do najdrobniejszych cząsteczek żywych, od nich do elementów składających się na komórkę, od nich do komórki, od komórek do narządów, od narządów do całego zwierzęcia, czy do całego ciała ludzkiego. Czemu jednak zatrzymać się mamy tutaj? Idąc dalej dochodzimy do zjednoczonych dziedzin myśli ludzkiej i społeczeństwa ludzkiego, z wszystkimi jego skomplikowanymi stowarzyszeniami się, od rodziny począwszy aż do całej jedności ludzkości. Tak oto szeregujemy nasze szczeble organizacji. Każdy z nich większy jest od tego który go poprzedza i bardziej skomplikowany już w samej zasadzie, i wyżej zorganizowany. W kategoriach przestrzeni: każdy z nich zawiera wszystkie mniejsze w swoich granicach.

Przestrzeń jednak niewiele znaczy bez czasu. W każdym rozwoju osobniczym, czy to będzie człowiek czy najmniejsze ze stworzeń, nowy osobnik rozpoczyna swą drogę od niskiego szczebla i wspina się coraz wyżej, aż do swej własnej perfekcji. Wiemy jednak, i to bez cienia wątpliwości, że istniało, mówiąc po prostu, w czasie, następowanie po sobie rozmaitych etapów skomplikowania i organizacji, podobnych do tych etapów, jakie widzimy śledząc jak powstają organizmy wyższe. Była materia nie organiczna nim pojawiły się światy. Były światy nim pojawiło się życie. Istniał pewien rodzaj życia prymitywnego (mającego być może coś wspólnego z wirusami, będącymi przedmiotem naszych badań dzisiaj) — nim pojawiły się rośliny, i istniały rośliny nim pojawiły się zwierzęta. Istniały zwierzęta przed tym nim pojawili się ludzie, i istnieli ludzie przed tym nim pojawiły się te organizmy społeczne które znamy jako rodziny i szczepy. Następnie pojawiły się barbarzyńskie narody i bardziej cywilizowane miasta-państwa, aż wreszcie doszliśmy do narodów-państw, takich jakie mamy dzisiaj.

Mówi się często, że drugie prawo termodynamiki wskazuje na to, że w miarę postępu czasu wzrasta chaos i zmniejsza się porządek w świecie martwym. Można by tu zwrócić uwagę na to, że prawdopodobnie definicja porządku, tak jak ją rozumieją fizycy, nie odnosi się do organizacji biologicznej, albo też że biologiczny wzrost organizacji musi być całkowicie skompensowany gdzieś indziej w wszechświecie.

(Wydawca THIS CHANGING WORLD opatruje to miejsce następującym komentarzem: „JOSEPH NEEDHAM poświęcił temu tematowi

jeden rozdział w swej książce TIME THE REFRESHING RIVER, C. H. WADDINGTON dopisuje zaś uwagę następującą: 'Podczas gdy teoria ewolucji stwierdza, że stopień organizacji utworów żywych wzrasta ustawicznie, termodynamika wydaje się wskazywać no to, że porządek świata jako całości ustawicznie się zmniejsza. Paradoks ten raz po raz w ciągu naszego stulecia pojawiał się w tle nowoczesnej nauki . . . NEEDHAM twierdzi, że w gruncie rzeczy nie jest to żaden paradoks, albowiem, kiedy fizyk mówi, że świat staje się coraz bardziej 'nieporządnym', nie ma on na myśli tego samego porządku, o którym teoria ewolucji mówi że się powiększa. 'Nieporządek' termodynamiki jest, według NEEDHAMA, po prostu 'pomieszaniem' i nie ma żadnego powodu dla którego nie miało by to być 'pomieszanie według pewnego wzoru'. Gdybyśmy analizowali jakaś melodię i zagrali najpierw wszystkie zawarte w niej C, potem wszystkie Cis, potem wszystkie D, wszystkie Dis i t. d., z punktu widzenia fizyka byłoby to doskonałym uporządkowaniem tonów, gdybyśmy natomiast zagrali te tony tak jak były skomponowane w melodii, dla fizyka byłoby to czymś bardzo 'pomieszanym'. Z punktu widzenia biologa jednak — melodia reprezentuje tu zorganizowany porządek tonów; są one zatem jednocześnie i pomieszanym — jak słusznie mówi fizyk — i bardziej zorganizowane. Zmniejszanie się porządku termodynamicznego nie przeczy zatem wzrostowi porządku biologicznego.")

Czy można, zdając sobie sprawę z tego niewiarygodnego wzrostu owych stopni organizacji, jaki miał miejsce w ciągu milionów lat, — czy można być tak ślepym, prowincjonalnym, szalonym, żeby wyobrażać sobie iż dzisiejszy stan społeczeństwa ludzkiego jest ukoronowaniem wieków, ostatnim najdoskonalszym osiągnięciem, na jakie Przyroda zdobyć się może? Wielbiciele wieków minionych, owi wygnańcy uciekający od naszych czasów by zagrzebać się w klasykach czy w XVIII stuleciu, — mówią czasem tak jakby to właśnie mieli na myśli. Od czasów PLATONA, mówią, ludzkość raczej rozpada się niż posuwa naprzód. Oglądany w czasowej perspektywie ewolucji PLATO jest prawie że naszym współczesnym. I cudownym wydaje się raczej to iż człowiek cywilizowany potrafił osiągnąć tak wiele od czasu mędrców Grecji, Chin, Egiptu i Indii. Jeśli zastanowimy się nad tym, którą dziś, w naszych czasach, przebiega owa linia postępu, wystarczy jeśli sięgniemy do tych sił, jakieby one nie były, które pracują nad doprowadzeniem do większej i lepszej organizacji, nie do mechanicznej organizacji jako takiej, — — Przyroda, w odróżnieniu od Faszyzmu nie ma z nią nic do czynienia, — — ale do organizacji zbudowanej na tym, i wyrastającej z tego wszystkiego, co jest naturą istot ludzkich, wtedy kiedy są w najlepszej formie na jaką je stać. Wspólnota światowa nie jest więc, — choć wielu ludzi tak sądzi —, dzikim, przedwczesnym, optymistycznym snem; jest ona pewnego rodzaju rozwiązaniem naszych trudności, rozwiązaniem które ma za sobą pełen autorytet ewolucji. Oto jest wiara, jeśli można to wiarą nazwać, która powinna padtrzymywać socjalistów. Jakich by klęsk sprawa jedności ludzkiej nie doznała jeszcze za dni naszych, socjalista znający fakty będzie mógł zawsze powtórzyć za GALILEUSZEM stojącym przed Inkwizycją: „A jednak się porusza.” Jaka by siła nie powstrzymywała nadejścia świata wspólnoty, w którym wszystkie gatunki ludzi żyć będą w harmonii ze sobą, w którym prawdą się stanie stara maksyma: „każdy według swych możliwości, każdemu według jego potrzeb”, — — siła ta skazana jest na zagładę. Przeciwno 'procesowi światowemu' żadna siła nie może się ostać. Daleko jeszcze do końca tych zadań które Energia i Organizacja ma przed sobą.

## Z LABORATORIUM NATIONAL GALLERY.

W r. 1934 przy londyńskiej National Gallery powstało laboratorium dla zbadania znajdujących się w tym muzeum dzieł sztuki. Chodziło o to by zastosować wszystkie nadające się do tego celu nowoczesne środki fizyczne, więc fotografię rentgenowską, fotografię w podczerwieni, w ultrafiolecie, zdjęcia mikroskopowe, oraz mikroskopowe w świetle spolaryzowanym. Poza czysto praktycznymi wnioskami, związanymi z restauracją starych płócien, wyniki badań tych, fotografie rentgenowskie i w podczerwieni, odkryły nam historię powstawania poszczególnych obrazów, technikę pracy artysty, sposób kładzenia farby, zmiany wprowadzone w rysunku w trakcie pracy, i temu podobne „sekrety” artysty, które nie miały być nigdy oglądane i nie byłyby nigdy znane, gdyby promienie rentgena i promienie podczerwone nie wdarły się w warstwę farby. Takie „magiczne” zerknięcie do warsztatu na przykład TYCJANA i odkrycie jakichś jego „kłopotów” i problemów twórczych prawdziwe wzruszenie wywołać w nas może.

Wyniki tych badań wydane zostały w książce FROM THE NATIONAL GALLERY LABORATORY (50 str., Ilustr., National Gallery, 1940). Oto kilka słów z przedmowy, pióra IANA RAWLINSa: „Ilustracje po lewej stronie są ‚zwykłymi’ fotografiami, ilustracje po prawej, przedstawiające obraz w oryginale niewidoczny dla oka, powstały przy fotografowaniu obrazu za pomocą promieni o długości fali albo za krótkiej (rentgen), albo trochę za długiej (bliska podczerwień) by mogły działać na siatkówkę ludzkiego oka. ...Zadaniem ich jest dostarczyć nam wiadomości o obrazie, wiadomości które inaczej nigdy nie zostałyby odkryte, albo też nigdy nie byłyby tak namacalnie pewne. Poza tym jednak, w wielu wypadkach, fotografie te (rentgenowskie i podczerwone) wykazują swoje własne piękno, nieoparte wprawdzie na zasadach tradycyjnej estetyki, a wynikające stąd, że udało nam się zobaczyć taki widok obrazu, na jaki zwykle jesteśmy nieodwołalnie ślepi...”

---

Ilustracje na sąsiedniej stronie przedstawiają :

u góry :

Fragment. „CHRYSTUS I MAGDALENA: „NOLI ME TANGERE”.— TYCJAN.

Układ nóg Chrystusa na fotografii rentgenowskiej (na prawo) wskazuje na zupełnie odmienną kompozycję początkową.

w środku :

Fragment. „MADONNA Z DZIECKIEM I ŚWIĘTYMI”—ERCOLE GRANDI

Zwykła fotografia (po lewej stronie) ukazuje nam pracę COSTAy, podczas gdy fotografia rentgenowska (po prawej stronie) wydobywa na wierzch zupełnie inną głowę Madonny, będącą dziełem MAINERiego który obraz ten zaczął.

na dole :

Fragment. „MADONNA Z DZIECIĄTKIEM”.—COSIMO TURA.

Fotografia w świetle podczerwonym (na prawo) pokazuje wyraźnie sposób modelowania, technikę kładzenia farby, rzeczy niewidoczne na obrazie lub fotografii zwykłej.



## WYCIĄG Z BIBLIOGRAFII

### NAUKA

BERNAL, J. D., „THE SOCIAL FUNCTION OF SCIENCE”, Routledge. — — rola jaką nauka odgrywać musi w społeczeństwie; metody i cele nowoczesnej nauki; najlepszy i najobszerniejszy opis związków nauki z innymi aspektami cywilizacji, jedna z najważniejszych książek jakie zostały napisane w ciągu ostatnich lat.

CROWTHER, J. G., „THE SOCIAL RELATIONS OF SCIENCE”, Macmillan. — — ten sam temat co BERNALa, ale oparty bardziej na materiale historycznym rozwoju nauki; dobry wstęp do historii nauk.

WADDINGTON, C. H., „THE SCIENTIFIC ATTITUDE”, Penguin. — — książka o nauce jako całości; „nauka nie jest zbiorem jej poszczególnych dziedzin, jest stosunkiem do świata, sposobem życia”; „już stała się dominującym natchnieniem kultury ludzkiej, tak że nowoczesna poezja, malarstwo i architektura swe najbardziej konstruktywne idee zawdzięczają myśli naukowej”; książka zawiera dwa interesujące rozdziały poświęcone sztuce: „Sztuka w okresie pomiędzy wojnami” i „Sztuka sięga do nauki”.

DARWIN, C. G., „THE NEW CONCEPTION OF MATTER”, G. Bell & Sons.

NEEDHAM — patrz strona 434.

### SPRAWY SPOŁECZNE

COBLAN, A., „THE CRISIS OF CIVILISATION”, Jonathan Cape. — — podstawy społeczeństw w świetle obecnych wydarzeń; o nowe podstawy teorii politycznych.

FROMM, E., „THE FEAR OF FREEDOM”, International Library of Sociology and Social Reconstruction, London: Kegan Paul. — — analiza psychologiczna głębszych przyczyn dla których człowiek boi się wolności.

LINDSAY, A. D., „THE ESSENTIALS OF DEMOCRACY”, Wm. J. Cooper Foundation Lectures, London: Oxford University Press. — — zwięzła interpretacja angielskiej idei demokratycznej.

MUMFORD, L., „TECHNICS AND CIVILISATION”, Routledge. — — stosunek maszyny do życia ludzkiego, jej rola społeczna w okresie 1000 lat, rzeczowa i oryginalna książka.

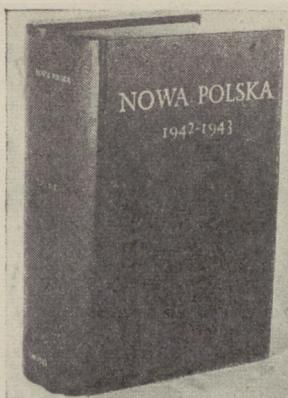
MUMFORD, L., „THE CULTURE OF CITIES”, Secker & Warburg. — — jak rozwój miast w ciągu wieków odbijał charakter cywilizacji danego okresu.

### TEORIA JĘZYKA

OGDEN, C. K., and RICHARDS, I. A., „THE MEANING OF MEANING”, str. 364., International Library of Psychology, Philosophy and Scientific Method, Kegan Paul. — — studium o wpływie języka na myśl; wydanie siódme (1945) zawiera dodatkowo dwa essay'e: B. MALINOWSKIEGO „The Problem of Meaning in Primitive Languages” i F. G. CROOKSHANKA „The Importance of a Theory of Signs and a Critique of Language in the Study of Medicine”.

CHASE, S., „THE TYRANNY OF WORDS”, Methuen. — — książka na podobny temat, napisana bardzo dostęпно, żywo i interesująco.





## PRZEDSTAWICIELSTWO

„NOWEJ POLSKI“ W AMERYCE  
25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski“  
za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać

# P O L S K I TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24  
Konto P. K. O.: Warszawa I. 654

::: WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy :::

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

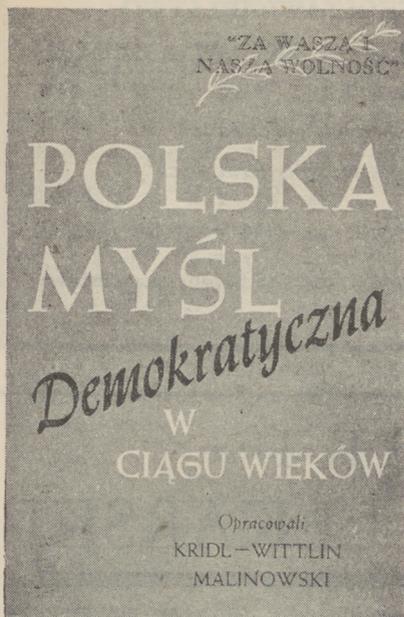
Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,  
prof. dr med. L. Hirszfeld (Wrocław),  
prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),  
prof. dr med. M. Kacprzak,  
prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),  
prof. dr med. W. Mozołowski (Gdańsk),  
prof. dr med. W. Orłowski,  
doc. dr med. E. Reicher,  
prof. dr med. M. Semerau-Siemianowski (Łódź),  
prof. dr med. W. Szeniajch,  
prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI  
„NOWEJ POLSKI“

## SPIS RZECZY

|   | Str.    |
|---|---------|
| JAN PARANDOWSKI — <i>O roli pisarza</i> .. .. .                   | 385—387 |
| STANISŁAW OSSOWSKI — <i>Córka kilku matek</i> .. .. .             | 387—395 |
| KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i> .. .. .                          | 395—401 |
| FELIKS BOCHENSKI — <i>Warszawa</i> .. .. .                        | 401—405 |
| — — — <i>Jak ludzie żyją</i> .. .. .                              | 405—411 |
| HANNA MORTKOWICZ OLCZAKÓWA — <i>Na granicy snu i nieszczęścia</i> | 411—418 |
| JADWIGA GAMSKA-ŁEMPICKA — <i>Jesień lwowska</i> .. .. .           | 418     |
| — — — <i>Z Epigramatów</i> .. .. .                                | 419     |
| STEFAN ŁĘCZYC — <i>Lęk i głód</i> .. .. .                         | 419—424 |
| STANISŁAW ŁEMPICKI — <i>Książki i ludzie</i> .. .. .              | 425—430 |
| * * * <i>Literatura, sztuka i nauka w Anglii</i> .. .. .          | 431—446 |



### Z PRZEDMOWY BERTRANDA RUSSELLA DO WYDANIA ANGIELSKIEGO

**M**AM NADZIEJĘ, że książka ta będzie szeroko czytana. Daje ona obraz polskiej myśli postępowej, od piętnastego wieku aż po dzień dzisiejszy. Końcowe jej rozdziały stanowią odzwierciedlenie Rządu polskiego oraz polskiego ruchu podziemnego, który działa mimo teroru Gestapo. Porząd tekstów, zamieszczonych w tej książce znajdzie czytelnik wyjątki z piśm autorów, odzwierciedlających zasady demokratyczne i socjalistyczne równie stanowczo i mówiąc wymownie, jak najlepsi pisarze Zachodu. Znajdzie on również nieustraszone potępienie antysemityzmu, militarystyki, przywilejów arystokratycznych i innych, dobrze znanych, przejawów zła, które trapiło Polskę na równi z wielu innymi krajami. Redaktorom książki należy się specjalne uznanie za całkowitą szczerłość w przedstawianiu tych bulgarek, zwłaszcza w latach, które bezpośrednio poprzedziły wybuch obecnej wojny. Żaden kraj nie ma monopolu na posiadanie tych rządów i byłoby wielkim błędem odmienne traktowanie Polacy dlatego, że przez pewien czas najgorzej elementy reakcyjne zdolali narzucić narodowi polskiemu swą tyranię.

Historja Polski jest tragiczna od czasów jej rozbioru przez owych "oświeconych despotów" Fryderyka, króla-filozofa, i Katarzynę, Semirę między Północy (jak nazywał ich Voltaire i inni pochlebcy) Nic dziwnego więc, że niestępczenia te wywołały wśród Polaków nieco zbyt gwałtowny narjonalizm; lecz autorzy, których prace zamieszczono w tej książce, całkowicie są od niego wolni.

Spodziewam się, że podobnie jak ja — tak i czytelnicy tej książki zauważą uderzające podobieństwo celów, ku którym dąży postępowi Polacy oraz postępowi działacze Demokracji Zachodnich.

Mam nadzieję, że wszystkie podstawi, aby wierzyć, że większość narodu polskiego pozostała zawsze wierna zasadom demokracji.

*Bertrand Russell*

*Uwzględnieni autorzy:* Włodkowic, Ostroróg, Modrzewski, Rej, Goślicki, Skarga, Budny, Stoiński, Przypkowski, Konarski, Kollątaj, Staszic, Potocki, Pułaski, Kościuszko, Mochnacki, Lelwel, Mickiewicz, Worcell, Kamiński, Ściegienny, Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Nalkowski, De Courtenay, Srokowski, Witkiewicz, Balzer, Lednicki, Waryński, Limanowski, Piłsudski, Daszyński, Krauz, Baron, Krzywicki, Abramowski, Brzozowski, Żeromski, Strug, Berenson, Witos, Skrzyński, Ganszyniec, Niedziałkowski, Thugutt, Lieberman, Estreicher, Znaniecki, Alter, Kulczyński, Paderewski, Próchnik, Sikorski, Stańczyk, Słonimski, Malinowski.

Str. 448

Cena 2l szyl.

SKŁAD GŁÓWNY

W „NOWEJ POLSCE”

91, Great Titchfield Street, London, W. 1

DO N A B Y C I A

W KAŻDEJ POLSKIEJ KSIĘGARNI

**ECHO**  
**STADIONU**  
tygodnik sportowy

ukazuje się

w WARSZAWIE

co tydzień

Red. i Adm.; Śniadeckich 16



„NOWA  
POLSKA“  
JUŻ JEST



DO  
NABYCIA  
W KRAJU

**NOWA POLSKA** jest największym i najważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

**NOWA POLSKA** służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

**NOWA POLSKA** pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bocheński, Boguszewska, Bramson, Bratny, Broniewski, Cękański, Ciolkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dżiewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falsa, Fiederer, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Grosfeld, Gross, Grubiński, Haupt, Hemar, Hertz, por. Herbert, Hładki, Horzelski, Hulewicz, Iwaszkiewicz, Janta, Jastrun, Karpinski, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossak-Szczucka, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Krzywicka, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Lempicki, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Malczewski, Machalski, Malessa, Malinowski, Markowski, Meissner, Melcer-Rutkowska, Mierzejewski, Miłosz, Mrozowicki, Mortkowicz-Olczakowa, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Nalkowska, Olcha, Ordęga, Ossowski, Orwinowski, Pawlikowska Parnicka, Parandowski Jan, Piątkowski, Piotrowski, Piskor, Polczyński T. J., Pomian, Potworowski, Poznański, Pragier, Pruszyński M., Pruszyński Ks., Raczyński E., Radziwiłł, Slonimski, Sokolow, Solski, Stankiewicz, Stańczyk, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Strzałkowski, Szczepański, Szerbic, Szczytt-Lednicka, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Waligórski, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wionczek, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zasławski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zuławski, Żyw.

**Nowej Polski** zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, są jednak w przystępnej cenie s. 3ch. Abonament roczny z przesyłką:

|                                       | za 1 rok: | za 2 lata: |
|---------------------------------------|-----------|------------|
| w W. Brytanii i Dominjach w Europie i |           |            |
| Ameryce ... ..                        | £1 16 0   | £3 0 0     |
| Roczniki Oprawne za 1942...           | £1 6 0    |            |
| " " " 1943...                         | £1 15 0   |            |
| " " " 1944...                         | £2 0 0    |            |
| " " " 1945 (tom IV - V)...            | £2 0 0    |            |

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1. TEL. MUS. 1409

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków, wojskowi za pośrednictwem „POCZTY POŁOWEJ”.

PRENUMERATY KRAJOWE PRZYJMUJE „CZYTELNIK” WIEJSKA 14

TUTAJ ODCIAĆ!

.....1946 r.

Do Administracji

Miesięcznika Literacko-Politycznego

„NOWA POLSKA“

w LONDYNIE

Proszę o wpisanie mnie w poczet stałych prenumeratorów „Nowej Polski” i rezerwowanie dla mnie rok rocznie wszystkich skorowidzów opracowywanych przez W.P. do tomów oprawnych.

Jednocześnie przesyłam prenumeratę w postaci

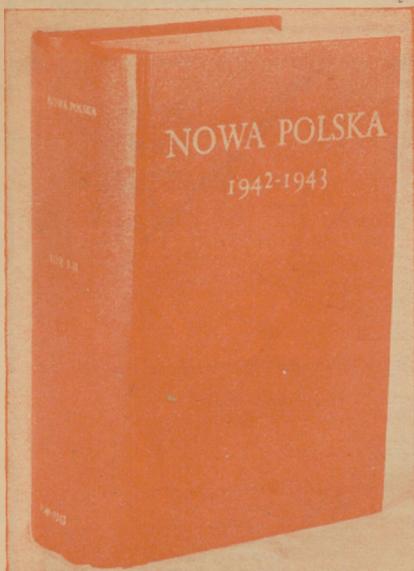
.....  
(zbędne prosimy przekreślić)

Prenumerata  
roczna:  
£1.16.0

Prenumerata  
2-letnia:  
£3.0.0

.....  
podpis.

45,-  
778434/211177



# „NOWA POLSKA“

DOCIERA DO KAŻDEGO  
DOMU I OŚRODKA INTE-  
LIGENCJI POLSKIEJ

CZY MASZ JUŻ  
TEN ROCZNIK  
W BIBLIOTECE ?

## NA CAŁYM ŚWIECIE

PROSIMY WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW LITERATURY POLSKIEJ O STAŁY KONTAKT  
Z NAMI, I PROPAGOWANIE „NOWEJ POLSKI“ WŚRÓD  
INTELIGENCJI EMIGRACYJNEJ I W KRAJU

TUTAJ ODCIAĆ!

SENDER :

.....  
.....  
.....

Business Office

## „NOWA POLSKA“

POLISH LITERARY MONTHLY

91 Great Titchfield Street

LONDON, W I